Rok III. Luty 1930. Nr. 2.



fot. Wł. Miedniak.

W świetle zachodzącego słońca.

NA TROPIE

Ze świata skautowego.

150 SKAUTÓW ANGIELSKICH W POLSCE. Pierwszym rezultatem naszego pobytu na Jamboree — to przyjazd w czasie Wielkiej Nocy 150 skautów angielskich z hrabstwa Kent do Polski. Wycieczka ta jest tem bardziej interesująca i pożądana, że stanowi grupę corocznie wyjeżdżającą w czasie Wielkiej Nocy do innego państwa; była już w Austrji, Hiszpanji, na Węgrzech, Czechosłowacji, a „bardzo niepochlebne" wiadomości wstrzymały ją od przyjazdu do Polski. Poza większą grupą (około 80) skautów łotewskich, którzy przybyli na zlot do Poznania, jest to pierwsza tak wielka grupa skautów zagranicznych, przybywająca do Polski. Sprawozdanie z pobytu składają oni nietylko na łamach „Jamboree", kwartalnika międzynarodowego, ale także Biuru Międzynarodowemu. Wierzymy, że po tej wycieczce nastroje Anglji w stosunku do nas zmienią się.

SKAUCI LOTNICY. Na jednem z ostatnich posiedzeń Głównej Kwatery Angielskiej postanowiono nie tworzyć nowej gałęzi skautingu lotniczego (jak n. p. są skauci morscy), lecz poddać rewizji sprawności lotnicze, a drużyny istniejące w pobliżu ośrodków lotniczych, będzie się zachęcać do specjalizowania się w tym kierunku.

SKAUTKI DUŃSKIE założyły w sierpniu 1920 r. szkołę instruktorską, opartą na metodach i ideałach harcerskich. Szkołę tę ukończyło dotychczas 190 uczennic. Do budynku tej szkoły przeniesiono lokal Głównej Kwatery, oraz Komisję dostaw. Właścicielką i dyrektorką szkoły jest pani Flagstad, obecna naczelniczka skautek duńskich.

SKAUTKI I SKAUCI ŁOTEWSCY nie mogli znaleść wspólnej platformy porozumienia i współpracy. Dopiero niedawno zostało utworzona wspólna rada jako reprezentacyjny organ obu organizacyj, kładąc temsamem kres dotychczasowemu stanowi rzeczy.

ŻEŃSKIE BIURO MIĘDZYNARODOWE wydaje od pięciu lat kwartalnik pod tytułem „The council fire" (Ognisko Rad), poświęcone coraz bardziej rozpowszechniającemu się ruchowi skautingu żeńskiego. Pismo to wychodzi w ładnej szacie zewnętrznej, na dobrym papierze, ilustrowane. Ostatnio ogłoszono konkurs na okładkę, otwarty dla wszystkich narodów. Wyniki konkursu będą podane w najbliższym numerze.

ZNACZKI POCZTOWE. W ostatnim numerze „The council fire" głównie poświęconemu międzynarodowym sprawom żeńskim, pani Katarzyna Turse z Anglji zwraca się do wszystkich skautów z następującą propozycją:

„Posiadam wiele znaczków pocztowych do rozdania, rozdzielę je między skautki, które przeszlą mi kopertę już zaadresowaną oraz kilka rzadszych znaczków (nowych lub starych) swego kraju." Jeśliby któraś z naszych harcerek chciała skorzystać z tej wymiany, niech do 15 marca nadeśle do redakcji „Na Tropie" kopertę zaadresowaną do siebie, oraz wspomniane znaczki.

W DOROCZNYCH ZIMOWYCH zawodach sportowych, które się odbyły w Kandersteg w styczniu br., wzięli udział skauci szwajcarscy, angielscy i węgierscy. Zwycięstwo odnieśli skauci angielscy. Spodziewamy się, że dzięki wzmożonej ruchliwości nowego kierownika Wydziału Zagranicznego G. K. M. dh. Grzymałowskiego, w roku przyszłym znajdą się na tych zawodach i nasi zawodnicy.

W BUDAPESZCIE wyświetlono film z Jamboree, na którym byli obecni regent Horthy, minister oświaty, ambasador angielski i inni, oraz cały szereg osób z najważniejszych sfer. P. Prezydent Mościcki zgodził się również oddać jedną z sal Zamku warszawskiego na wyświetlenie naszego filmu z Jamboree i ze zlotu w Poznaniu w obecności zaproszonych gości.

ALFABET INDYJSKI, o którym pisano w „Na Tropie" w ub. roku, wprowadzono do warunków prób na II. i III. st. w Ameryce.

DWA MANEŻE z Los Angelos ofiarowały bezpłatnie konie dla drużyn skautowych celem propagandy jazdy konnej.

IV. WALNY ZJAZD PŁASTOWY (Skautów ukraińskich) odbył się we Lwowie w dniach 25 i 26 grudnia 1929 r. przy udziale 170 delegatów. Sprawozdanie z działalności Naczelnej Komendy wygłosił dr. Tysowski, o zabiegach nawiązania kontaktu z Biurem Międzynarodowem — Markus, o ruchu skautowym na Rusi Podkarpackiej — L. Baczyński. Przewodniczącym Naczelnej Komendy wybrano Seweryna Lewickiego.

ZJAZD STARSZYCH PŁASTÓW odbył się 28 i 29 grudnia 1929 r. we Lwowie. W rezolucjach zjazd stwierdził, że praca skauta, czynnie pracującego w „Płaście", jest już pracą społeczną i skaut taki nie jest już obowiązany do innej pracy społecznej. Niezależnie od tego każdy jednak winien spełniać swe obowiązki obywatelskie, jak n. p. być członkiem „Proswity", „Ridnej Szkoły" itp. Postanowiono też podzielić starszych płastów na czynnych i nieczynnych i usamodzielnić Komendę St. Płastów jako komisję Naczelnej Komendy.

Na harcerskim szlaku.

OGÓLNOPOLSKIE ZAWODY NARCIARSKIE, które się odbyły w dniach 1 i 2 lutego w Zwardoniu, ściągnęły wielu zawodników, a to na 7 konkurencyj 114 harcerzy, 24 nieharcerzy, razem 138 uczestników. Zawody dały następujące wyniki: W biegach senjorów na 12 klm. I. miejsce osiągnął harcerz Kowalski (Bielsko) 1,16,40, nieharcerz Tyc (Milówka) 1,13,24. W biegach junjorów na 9-tem I. miejsce osiągnął harcerz Krauze (Bielsko) 1,5,8, nieharcerz Haratek (Koniaków) 1,6,49. Następnie odbył się konkurs jazdy pięknej, w skład której weszło dwukrotne wykonanie następujących ewolucyj: płużenie, opór, kzistjanie, skok terenowy i telemark. Najlepszą ocenę osiągnął Krauze (Bielsko). Na zakoczenie zawodów odbył się bieg zjazdowy na przestrzeni 500 mtr., zjazd dość ostry, pełny wyboi.

Mistrzostwo Polski (Gł. K. M.) przyznali sędziowie w grupie senjorów I. miejsce Kowalski (Bielsko) 22,5 pkt.; w grupie junjorów mistrzami zostali: I. miejsce Krauze (Bielsko) 24,4 pkt., II. miejsce Hryniewiecki (Król. Huta) 5,5 pkt. Ostatnią konkurencją był bieg drużynowy w składzie 3 zawodników. W grupie senjorów I. miejsce uzyskali: drużyna Kraków w składzie: Wodnicki, Gorzeński i Bugajski 49,1 pkt.; w grupie junjorów na czoło wysunęła się drużyna bielska w składzie: Pieczora, Łamacz, Krauze 52,4 pkt. Mistrzowskie drużyny poza żetonami i książkami uzyskały nagrody przechodnie. Senjorzy P. Wojewody dr. M. Grażyskiego, a junjorzy p. dowódcy O. K. V. gen. Wróblewskiego. Zawody te były pierwszemi zawodami ogólno-polskiemi, a drugiemi z kolei zawodami organizowanemi przez Chorągiew Śląską.

ODPRAWA DRUŻYNOWYCH żeskiego hufca rudzkiego odbyła się dnia 23 lutego br. Po szczegółowem sprawozdaniu z pracy w drużynach, przystąpiono do omówienia kursu dla zastępowych. Kurs odbywać się będzie w każdy czwartek przez 3 miesiące. Na zebraniu ustalono program pracy kursu, który będzie obejmować przygotowanie do stopnia pionierki, oraz metodyczne wskazówki prowadzenia zastępu. W czasie trwania kursu odbędzie się całodzienna zimowa wycieczka połączona z obozowaniem.

CHOINKA I PRZYRZECZENIE I. SZCZEKACIŃSKIEJ DRUŻYNY im. T. Kościuszki odbyły się w dniu 12 stycznia br. Drużynowy dh. ph. Brzeziski po krótkiej gawędzie odebrał przyrzeczenie od dwóch chłopców. Po przyrzeczeniu, zapaliwszy choinkę, zaczęto wyśpiewać najpierw kolendy, a potem szereg znanych drużynie pieśni. Wkocu wszyscy zasiedli do stołu zastawionego herbatą, ciastkami i cukierkami. Na tę uroczystości przybył p. prezes Koła Przyjaciół oraz wiele osób interesujących się drużyną.

PRACA W GRUPACH ŚWIETLICOWYCH, zorganizowanych przez harcerki w domku harcerskim w Katowicach, rozwija się wspaniale. Ostatniemi czacy przybyły dwie grupy t. zw. „porcelanki", składające się z dziewcząt z fabryki porcelany Gieschego. Praca w świetlicach napotyka na wiele trudności i to przeważnie z powodu braku odpowiednich funduszów, a przy tem ogromnie pochłania siły harcerek, instruktorów, które bez tego mają nadmiar pracy.

W czasie karnawału urządzały poszczególne grupy herbatki z tańcami i różnemi popisami.

Dziewczynki z „Świetlic" mają raz w tygodniu gimnastykę, prowadzoną przez siły fachowe, a co drugi tydzień wykład o higjenie.

W poszczególnych grupach oprócz części rozrywkowej i umysłowej jest i część praktyczna, otóż chętnie uczą się kroju bielizny i wycinanek artystycznych.

W projekcie jest nauka szycia, gdy tylko znajdą się fundusze na zakupno maszyny i urządzenie kursu robienia dywanów kilimiarskich.

NACZELNIK G. K. M. Dh. St. Sedlaczek bawił na Śląsku w związku z rozpisaniem konkursu na kierownika Szkoły Instruktorskiej na Buczu. W czasie wycieczki do Bucza dh. Naczelnik zwizytował drużyny w Pszczynie i w Tychach.

Rok III. Nr. 2.

Adres Redakcji i Administracji:
Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“

NA TROPIE

Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305.330.
Cena 50 groszy.

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

POD REDAKCJĄ MARJANA WIERZBIAŃSKIEGO

Niewiele a jednak wiele.

Z. Z. — duże tajemnicze litery kryją w sobie więcej siły mięśniowej, niż ma ją Sztekker, Zbyszko Cyganiewicz, mistrz Pytlasiński i innych stu atletów razem wziętych, więcej mieści w sobie śmiechu, niż we wszystkich filmach, w których występują Pat i Patachon i więcej słońca, powietrza, ruchu, niż... bałagan, zabrakło mi porównania! Stąd wniosek, że muszę zdjąć maskę z owych dwóch liter i powiedzieć, że sportowcy, zrzeszeni w Związku Związków są silniejsi, ponad atletów, mają w sobie więcej uśmiechów niż publiczność na komicznych filmach i taką moc cudnego słońca biorą w objęcia podczas tysiącznych treningów, imprez i zawodów, tyle wchłoną zdrowego, świeżego powietrza, że warto zastanowić się chwilę nad podsumowaniem dziesięcioletnich wysiłków polskiego sportu, który niedawno skromnie święcił swoje dziesięciolecie.

Dzień 11-go października 1919 roku był pamiętnym dniem zorganizowania się Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Od tej chwili rozpoczyna się okres organizacyjnej pracy i rozrostu sportu we wszystkich kierunkach. Z. P. Z. S. — Związek Polskich Związków Sportowych, został utworzony 26-go lutego 1920 r., ogniskując w sobie prawie wszystkie organizacje sportowe, będąc jakgdyby kierowniczą centralą ruchu sportowego w Polsce. Właściwie mówiąc, sport zaczął rozwijać się u nas od chwili powstania państwa, lecz były to poszczególne mniej lub więcej udane wysiłki, dopiero powstanie Polskiego Kom. Olimp. nadało całej akcji sportowej właściwy kierunek.

Uroczystość dziesięciolecia sportu uświęcono kilkoma akademjami, przyznaniem zasłużonym pracownikom członkowsko honorowych, audycjami radjowemi, nadaniem odznak — a więc bardzo skromnie.

Lecz prawdziwy obchód tego święta nie odbywa się na bankietach — odbywa się wszędzie: na łamach pism, które poświęcają całe kolumny wychowaniu fizycznemu, na tysiącach boisk, rozrzuconych po całym kraju, w naszem ministerstwie wychowania fizycznego, czyli w Państw. Urzędzie W. F., w ośrodkach w. f., w Centralnym Instytucie, wszędzie, literalnie wszędzie, nawet u mnie za oknem. . . . Zdziwioną widzę twarz czytelnika: czy autor kpi, czy żartuje? pisze niby, poważnie, a czasami robi takie susy! . . .

Nie, nie kpię i nie żartuję! Piszę i dzielę się tem, co czuję, co jest moją „wiarą“, a że czasami w swawolniejszą formę ujmę treść poważną, to jedynie poto, byście do końca artykulik przeczytali.

Za mojem oknem fosa. Wody tam mało, lodu jeszcze mniej, zato sporo chłopaków. Przyszli z miasta i cieszą się, obdartusy, urwipołcie, ze słońca, co grzeje i mrozu, co lód mocno trzyma w garści. Nie tylko się cieszą, lecz grają. Grają patykami w hokeja. Dwóch nawet łyżew nie mają, tych umieszczono w bramkach. Jeden kusztyka na drewienku, podbitym blachą, a więc na łyżwie własnej produkcji.

Czy rozumiecie już, Czytelnicy, dlaczego twierdzę, że dziesięciolecie sportu obchodzono nie tylko przemówieniem p. pułk. dypl. Ulrycha, prezesa Z. P. Z. S., na wspaniałej akademji w również wspaniałej sali W. T. W. w Warszawie, lecz i u mnie za oknem: łobuziaki z miasteczka widzieli, jak uczniowie gimnazjalni grają w hokeja i sami zaczęli grać patykami na drewnianych łyżwach.

Niewiele czasu — dziesięć lat, wiele jednak w tym czasu zrobiono!

Powstanie Państw. Urzędu W. F., Centralnego Instytutu Wych. Fiz., Polsk. Zw. Gier Sport., Ligi Piłkarskiej, zorganizowanie się narciarstwa, wioślarstwa itd. itd., rozkwit wychowania fizycznego w szkołach, poważny stosunek do sportu organów państwowych i samorządów, rozwój sportu robotniczego, powstawanie nowych klubów (bo czyż moi ulicznicy nie są klubem?), zainteresowanie się sportem prasy, organizacyj — czyż to mało?

Przed dziesięciu laty tego nie było: były powijaki, gdy w innych państwach młodzieniec, zwany „mister Sport“, podkręcał wąsika i szczycił się tysiącami boisk, pływalń, stadjonów, kortów, wieloma uczelniami i setkami tysięcy zorganizowanych zawodników, a my byliśmy prawie niczem, dziś — święcimy dziesięciolecie kilkoma artykułami i obchodami oraz potężnym, szerokim rozrostem, posiadającym wspaniałe fundamenta!

Zwinny Tur.

Szczęść Boże!

(Dokończenie.)

Drugiem poważnem niebezpieczeństwem, chociaż już może nie tak groźnem, jest tak zwane samozapalanie się węgla. Zjawisko to pojawia się najczęściej w wysokich pokładach. W starych wyrobiskach pozostawiony węgiel kruszeje, zamienia się w pył, który wchłania w siebie tlen i zgęszcza go w swych porach, przyczem temperatura podnosi się i wydziela się dwutlenek węgla. W miarę zaś, jak ten proces postępuje, temperatura ciągle wzrasta, co znowu sprzyja utlenianiu się węgla, który coraz bardziej wchłania tlen i coraz bardziej się nagrzewa, tak, że wkońcu zapala się.

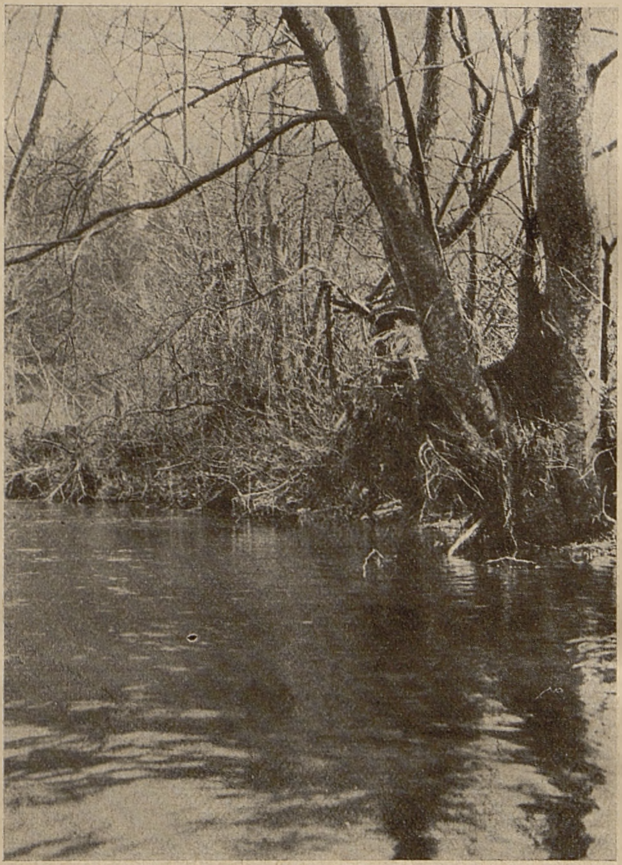
W takim wypadku izolują dotyczący odcinek kopalni zapomocą szczelnie zamykających tam drewnianych i murowanych celem niedopuszczenia w zagrożone miejsce świeżego powietrza. Wówczas ogień dusi się, wygasa powoli. Praca kopalni w tym czasie nie ustaje, chyba, że grozi niebezpieczeństwo rozszerzenia się pożaru na inne odcinki, wtenczas wstrzymuje się normalną pracę w podziemiu a szyby zamyka się szczelnie. Dla ilustracji, jak często zdarza się samozapalanie węgla, służy nam statystyka, która mówi, że np. od roku 1900 do 1909 było w kopalniach węgla na Górnym Śląsku 404 pożarów.

Trzeciem rzadszem już niebezpieczeństwem bywają zalewy kopalni czy poszczególnych jej poziomów. O ile nastąpi nagły wybuch wody z jakiejś podziemnej żyły, grozi górnikom poważne niebezpieczeństwo. Jeżeli jednakże dopływ wody jest mierny, zapobiegają zalewowi specjalne pompy, ustawione w kopalni i grube tamy murowane.

Nadmienić jeszcze należy, że wnętrza kopalni podzielone są na tak zwane piętra czyli poziomy. W każdym poziomie jest przekop, z którego rozchodzą się chodniki do pokładów. Ponieważ zazwyczaj pokłady te bywają skośno ułożone, dlatego też z wyższego poziomu można zejść pochylniami do niższego poziomu; naprzykład z poziomu 4-go do 5-go, a następnie do 6-go. Jeżeli więc górnicy, pracujący w 6-tym poziomie wskutek jakiegoś wypadku mają odcięty dostęp do szybu, mogą poychylniami udać się do poziomu 5-ego lub 4-tego a tam przekopem dojść do szybu.

Owe odrębne warunki pracy i bytowania wytworzyły z górnika również odrębny typ człowieka, prawie że nigdzie niespotykanego.

Trud jego pracy i owo ustawiczne sąsiadowanie ze śmiercią, co przyczajona czycha na jego życie, urabiają z górnika człowieka twardego i szorstkiego w obejściu. Zżyty z grożącem mu stale niebezpieczeństwem, krzepnieje w sobie, kpi sobie z wszelkich sentymentów, nie umie się rozczulać, wszelkie przeciwności i niepowodzenia przyjmuje z drwiącym uśmiechem i kpiarskiem słowem. W chwili jakiegokolwiek wzruszenia to raczej twardo „zapieronuje", aniżeliby miał się roztkliwić. Serce ich czyni wrażenie bryły zgruba ociosanej, takiej ciężkiej, bezlitośnej bryły. Pod tą szorstką pokrywą kryje się jednak złoto, najprawdziwsze złoto. Chcąc to serce dojrzeć, trzeba umieć odgrzebać je z pod onej chropowatej sękatej powłoki, patrzeć się nań oczyma, co widzą wgłąb. Wtedy człowiekowi wyda się ono podobnem do garści polnych kwiatów, podawanych na czarnej grubej spękanej dłoni. Kiedy mu naprzykład przyjdzie ratować swych towarzyszy, czekających ludzkiego zlitowania, to wtenczas nie deklamuje szumnych słów i nie słucha ich; są mu one bowiem tym „cymbałem pustobrzmiącym i miedzią próżno brzdąkającą". On powie tak: — „Pierona, chłopi trzeba naszych braci retować!... Pódźmy, boby nas ich baby przezywały!..." — A gdy mu kto zwróci uwagę, że tam snadno może zginąć, nie nie wskórawszy, strzyknie ci z pogardą śliną przez zęby i odpali drwiąco: — Hale, psiniec mi tam bydzie!... A jak ty się boisz, to se idź pod pierzyne legnąć i zbyte, a drugim sie tu nie szmatłej pod nogami, pieronie jeden!... — I idzie. Nie dlatego, żeby go „baby tamtych przezywały", lecz z poczucia swego szeroko pojętego obowiązku i miłości bliźniego. Takim człowiekiem jest górnik.



fot. Wł. Miedniak.

Wisła wczesną wiosną (fragment zdjęty na Śląsku).

Powiedzieć można śmiało, że górnik nie zna wyrazów na uczucie, ni nie umie go w kunsztowny sposób wyrazić. Czy mu spadnie fajka do szybu, czy odłupany kamyk głaśnie ciężko po głowie, czy żona umrze, czy też inne zmartwienie dotknie, zawsze powie: — Pierona, wiecie chłopi, szkoda fajfki (albo głowy lub żony)! Ale wysmolę się na nią... Górnik jest szczery prosty, a mocny, jak ten dąb zwalisty o spękanej korze, ale o zdrowem drewnie.

Czy górnik jest przesądnym? Być może, że tak, chociaż kryje się z tem, nierad okazuje na zewnątrz. Kpi sobie w żywe oczy z owego Skarbnika czy Pusteckiego, jak nazywają błąkającego się pono ducha w kopalni. Gdy jednak znajdzie się samotnym w jakiemś opuszczonem, starem wyrobisku, gdzie widzi koło siebie jeno te lasy stempli połamanych i zwisające zwały kamienia, gdy oczy lecą w onę czarną, a tak bardzo tajemniczą głąb zwaliska, lub ślizgają się po ścianach opuszczonego chodnika, gdzie srebrzą się garście białych puchów, do szronu podobnych, a z pośród zamarłej ciszy wybiega leciuchne osypywanie się skruszałego kamienia, czy niewytłumaczone dla niego szelesty i stuknięcia stłumione, lub da-

lekie echa uderzeń, nie wiedzieć skąd, z której ściany się przesączające, wtedy w jego sercu rodzi się przekonanie, że w tem miejscu przebywa ów duch Pustecki i że tylko czekać, skoro się z mroków wyłoni, czerwonem światłem w oczy poświeci, popatrzy się przeciągle i zniknie w caliźnie kamienia.

— Hy, co mi może taki Pustecki zrobić? — pociesza się. — Czy jo mu jest co winien, leby co? Powiem mu pieknie: „Szczęść Boże, panie Pustecki" i zbyte!...

Dotychczas nikt nie może powiedzieć, że owego ducha widział na własne oczy. Starzy górnicy jednak twierdzą, że on chętnie przybiera postać któregoś ze znanych im górników, i człowiek z nim rozmawia, nie wiedząc, że to Pustecki. Dopiero potem się przekonywają, że przecież ten człokiek, z którym oto przed chwileńką rozmawiali, całkiem gdzieindziej wówczas się znajdował. Wtedy leciuchny lęk pada na zasłuchanych górników, bo wierzą, iż to był znak jego i ostrzeżenie, że któremuś z nich grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Chętnie zato wierzą w jego pomoc, udzielaną niewidocznie. Naprzykład znużony górnik położył się na chwilę małą i zdrzemnęło mu się. Znienacka wyczuwa, że go ktoś porywa za nogi i odwleka kilka metrów. — Myślę se, kiż pieron se robi ze mnie błozna i za nogi mnie smyko we spaniu — mówi taki górnik. — I ledwa żech se siednął, a tu gruch! sypie sie kamień ze stropu, mówię wóm, chłopi, akurat w tem miesjcu, kajżech przedtem leżoł!... No, powiedźcie sami, nie był to Pustecki, co?... Widzicie, chłopi, to jednak jest porządny duch.. Nie można nic na niego powiedzieć...

Na każdej kopalni, przy szybie w cechowni znajduje się duża sala, a w niej ołtarz z obrazem lub figurą świętej Barbary. Dawniej przed zjazdem do kopalni modlono się przed owym ołtarzem, dzisiaj zwyczaj ten zanika. Nie dlatego. że jakoby górnik stał się mniej religijnym, bynajmniej. Bo on umie żywić do swej patronki głebokie nabożeństwo i uczcić ją paradnym pochodem do kościoła w dniu 4 grudnia, i ubrać się w szumne czako z pękiem czarnych piór kogucich i na kapelę hojnie sypnąć, byleby jeno zagrała „świętej Barborce", jak się patrzy, żeby se nie myślała, iż ich nie stać na porządną muzykę dla niej. O ile dzisiaj zanika ów zwyczaj wspólnego modlenia się przed zjazdem do kopalni, to raczej można to przypisać owej niechęci objawiania nazewnątrz swych uczuć, niezgadzających się pozornie z jego szorstkością zewnętrzną i pogardą do wszelkiej tkliwości.

Zato wszędzie używa swego pozdrowienia „Szczęść Boże", które stanowi dla niego nie pusty dźwięk, czy obowiązującą grzeczność, lecz naprawdę swe serce w nie wkłada. Wskutek tego te zbożne słowa mają dla niego wartość złota, i umie je cenić. I dlatego też ciężka obelga spotkać mogłaby takiego człowieka, któryby wszedł w czasie pracy do przodku, bez względu jak wysokie stanowisko on zajmuje, a nie powiedziałby górnikowi owych uświęconych słów: „Szczęść Boże"!

Takim człowiekiem jest nasz górnik i taka jego praca.

NIECO O OCHRONIE PRZYRODY.

Wiemy wszyscy, a zwłaszcza ci z młodych, którzy chodzą po lasach, polach i górach, co to jest piękno przyrody i wszyscy doceniają jej ochronę.

Niejeden z nas, widząc n. p. taką skałę, przy wejściu do groty zbójnickiej w Ojcowie, albo Kamień Dobosza w Karpatach wsch. lub wreszcie skałę pisaną w Dolinie Kościeliskiej, z pod której wypływa Dunajec, boleje nad tem, że są one tak przez nas — ludzi — zniszczone. Chciałby temu przeciwdziałać, zapobiec, lecz często nie wie, w jaki sposób.

Otóż w Polsce ochroną przyrody, jej piękna, zajmują się dwie organizacje. Organizacją oficjalną — państwową jest Państwowa Rada Ochrony Przyrody z siedzibą w Krakowie, organizacją zaś społeczną jest Liga Ochrony Przyrody z siedzibą w Warszawie, do której wkładka członkowska wynosi 3 zł. rocznie, jeśli zaś wpisuje się jakaś organizacja, kółko szkolne, czy drużyna harcerska — wkładka od osoby wynosi 30 groszy rocznie. Są to wkładki minimalne, pozwalające wciągnąć całe społeczeństwo do tej organizacji, jak to jest n. p. w Szwajcarji, gdzie ze składek dzieci szkolnych wykupiono, a tem samem uratowano półwysep na jeziorze „Czterech Kantonów", sławny pamięcią szwajcarskiego bohatera narodowego, Wilhelma Tella. Miano na nim zbudować hotele.

Mimo że Państwo nasze stara się o zachowanie całego piękna naszego krajobrazu, czego dowodem jest na przykład wykupienie w roku zeszłym w przeznaczeniu na park narodowy, najładniejszej części Piendu — przetomu Dunajca — jednak inicjatywa tylko taka nie wystarcza, i konieczną rzeczą żebyśmy wszyscy, całe społeczeństwo, do ziszczenia tej idei się przyczyniali.

Ochronę przyrody realizuje się przez tworzenie parków narodowych i rezerwatów, to znaczy takich obszarów, gdzie niewolno niczego niszczyć (w Polsce obecnie takim parkiem są Pieniny, mają być Tatry, a parków i rezerwatów jest już kilkadziesiąt), przez ochronę gatunków roślin i zwierząt wymierających (u nas n. p. szarotka, cis, limba, ostnica i inne z roślin, żubr, bóbr, łoś i inne ze zwierząt), i przez ochronę jakichś szczególnych zabytków, jak n. p. dęby w Rogalinie ponad 1000-letnie, lub aleja w Rudzewie nad morzem, sadzona przez króla Jana III.

Ochronie tej podlegają również ptaki śpiewające, bardzo u nas już wyniszczone, przez nieracjonalną gospodarkę.

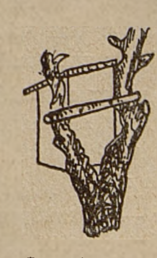
Przy tem, że są one chyba dla wszystkich nas, bardzo miłe, są też i bardzo pożyteczne, obierając gąsienice z drzew, zjadając jajka i poczwarki wielu szkodliwych owadów, które, rozradzając się bardzo szybko, mogą powodować bardzo znaczne klęski.

Ochronę ptaków realizuje się dwojako: przez dawanie im sztucznych gniazd i przez dokarmianie w zimie, gdy pod warstwą śniegu nie mogą znaleść pożywienia.

Ponieważ brak gniazd dotyczy głównie ptaków żyjących w dziuplach, zawiesza się dla nich odpowiednie skrzynki, które zastępują im naturalne wklęsłości w drzewie.



Rys. 1. Najprostsze sztuczne gniazdo dla sikorek.



Rys. 2. Sposób umieszczenia skrzynki w rozwidleniu gałęzi.

Skrzynki takie, pomysłu p. dr. Sokołowskiego Jana (uwidocznione na rysunkach), nabywać można w Domu Karnym w Rawiczu (Wojew. Poznańskie) stosunkowo tanio. Skrzynka mianowicie dla sikorek, muchołówek itp. kosztuje 2,20 zł., tyle samo kosztuje skrzynka dla drobnych sikorek.

Skrzynka dla szpaków, pliszek, kowalików kosztuje 2,75 złotych, a wreszcie skrzynka dla dudka, gołębia siniaka, sowy i in. 4,00 zł.

Znaczenie skrzynek dla lasów, sadów i pól jest wprost nieocenione. Jak wykazały liczne doświadczenia w czasie klęsk, spowodowanych licznym rozrostem jakiegoś szkodliwego owadu, tylko te lasy czy osady ocalały, gdzie były ptaki śpiewające w dostatecznej liczbie.

Jak widać, ochrona przyrody poza swym celem idealnym, jakim jest zachowanie piękna krajobrazu, ma też poważne znaczenie praktyczne.

Osa.

Noc na Śląsku.

Nie lubi głębokiej czerni ani zamarłej ciszy
Noc śląska, co wieczorem z kopalń wypełza na ziemię;
Za słabe jej światła gwiazd, które pod niebem wiszą,
Więc stale chodzi w błyszczącym lamp elektrycznych diademie.

Naprzekór dniowi śpiącemu szczęka zajadle robotą,
Rzucając na niebo łunę z drgających żarem palenisk —
Warczącym oddechem maszyn, rytmem stłumionych łoskotów
Śmieje się urągliwie do rozespanych cieni.

Gdzieś daleko oddycha ziemia westchnieniem lasów,
Gdzieś gór wyniosłe czoła śpią na poduszce błękitu —
Gdzieś noc jest uroczysta, niosąca sen, bez hałasów . . .
Tutaj — w gorączce pracy — hałasem dzień żegna i wita. *H. K.*

W kręgu rady.

W czasach dzisiejszych gdy tak wszechwładnie panuje pęd do sportów i wychowania fizycznego, że częstokroć nawet małe dzieci interesują się rekordami i wynikami zawodów w tej dziedzinie, wiemy też jak wiele znaczy dla sportowca osiągnięcie pierwszeństwa i laurów zwycięzcy.

Lecz wiemy także, że zwycięstwo to przychodzi niełatwo i wiele trzeba wysiłku, by stanąwszy na starcie w równej linji z innymi, pokonać współzawodników i osiągnąć pierwszeństwo. Ileż to dni ćwiczeń, treningów, dni prób i zwątpień poprzedza takie zwycięstwo — jak silnie trzeba go pragnąć, by wytrwać i dojść do mety. Często się zdarza, że ten lub ów z zawodników, po którym się wiele spodziewano, zawiedzie — zwykle też można określić przyczyny jego niepowodzenia. Zaniedbanie, opieszałość i lekkomyślność nie każą czekać na swoje skutki — trud włożony przynosi zasłużoną nagrodę. Oczywistą staje się stara prawda, że bez walki niema zwycięstwa!

Tak jest w sporcie — nie trzeba nawet samemu być sportowcem, by o tem wiedzieć — no i z odpowiednią krytyką odnosić się do zawodnika, który zaniedbał szansy zwycięstwa.

Lecz prócz zawodów sportowych, mimo wielkiej popularności dostępnych jednak tylko dla wybranych, istnieją inne jeszcze zawody, inny wyścig, do którego wszyscy stajemy, a jest nim życie.

Życie — niekażdy z nas zastanawia się nad niem, niekażdy stara się zrozumieć jego cele zanim nie jest zapóźno. Spróbujmy dziś wspólnie spojrzeć na nie z tak znanego nam wszystkich punktu widzenia, pomyślmy, że każdy młody chłopak czy dziewczyna, którzy zaczęli myśleć samodzielnie, to nowy zawodnik przybywający na start, by wziąść udział w wielkim biegu. Oczy wszystkich wpatrzone w dal, w cel niewidoczny, lecz upragniony, serca przepełnione nadzieją, że przyszłość przyniesie zwycięstwo. To też, gdy bieg rozpoczęto, ruszają wszyscy z zapałem. Lecz cóż to? Po chwili odrywa się ktoś z gromady, ktoś pada, inny zwolniwszy biegu pozostaje w tyle, ale są też i tacy co wyprzedziwszy gromadę, rwą naprzód w pierwszym szeregu — oczy wpatrzone w cel jasny, myśl skupiona, wola wytężona, by wytrwać, — ci napewno zwyciężą.

Tymczasem wśród pozostałych, wśród tych co się potknęli, co zwątpili w swe siły, bo nie umieli wytrwać, lecz chcieli spocząć przedwcześnie, jakżeż smutny panuje nastrój. Zawiedziona nadzieja, żal z powodu przegranej rozgorycza ich i źle usposabia do losu. On winien wszystkiemu, bo czemuż innym się poszczęściło i oni tylko osiągną to, do czego wszyscy dążyli.

Gdyby to było boisko sportowe, gdyby to rzeczywiście był bieg do mety, odpowiedź nie byłaby zapewne trudna. Sędzia, co z boku obserwował wyścig, powiedziałby po koleji gorzką prawdę niefortunnym sportowcom — temu, że mięśnie ma za słabe i niewyćwiczone, bo zaniedbał treningu, temu, że zwątpił w swe siły wtedy właśnie, gdy trzeba je było wytężyć z całej mocy, owemu wreszcie, że zlekceważył sobie drogę daleką i trudną i liczył na los szczęścia zamiast na własne siły. Niewielka to pociecha w tym wyścigu, lecz dobra nauka na przyszłość dla tych, co raz jeszcze zechcą stanąć u mety.

Inaczej w życiu — tu nie powraca tak łatwo stracona sposobność i nie zawsze znajdzie się w pobliżu przyjazny sędzia, co wytknie błędy, by ustrzedz w przyszłości przed nimi. I los rzadko przychodzi z pomocą temu, co zaufał mu bezgranicznie. Więc niema na kogo się oglądać — trzeba liczyć na własne siły. Trochę to przerażająco brzmi — „własne siły" — ale czy nie brzmi też zachęcająco, czy nie napełnia pewną dumą i pragnieniem zwycięstwa za wszelką cenę? Jeśli tak jest, to już dobrze — nie zginie, kto wierzy w swe siły. Gorzej tam, gdzie zakradło się zwątpienie, gdzie przedewszystkiem nasuwa się myśl — ja nie mam „własnych sił".

Ale i na to znajdzie się sposób. Gdy czegoś niema, trzeba to zdobyć, gdy jest za słabe, należy umocnić. Byle tylko nie wątpić. Lecz o jakie siły chodzi, by wygrać ten wyścig życia — czy o silne mięśnie i zdrowe płuca — czy może o mocne serce. I jedno i drugie nie zawadzi — lecz zawsze to tylko będzie dodatek, dodatek, który w razie potrzeby wesprze naszą siłę moralną. Siła moralna — oto podstawa zwycięstwa — siła moralna, która nieraz potężniejsza jest w ciałach wątłych i słabych niż w dużych i mocnych. Siła moralna — ona nie opuści nas w naszej wędrówce, choć wszystko inne zawiedzie. Lecz nie przyjdzie też do nas sama. Trzeba ją w sobie wyrobić, trzeba ćwiczyć i zdobywać z większym trudem niż silne mięśnie, trzeba raz zdobytą umacniać. Nasza siła moralna, to charakter silny i prawy, czyli prawe i głębokie zasady, oparte o silną wolę. One to sprawią, że w wyścigu życia osiągniemy zwycięstwo, że wyjdziemy obronną ręką, ze wszelkich trudów i przeszkód, że osiągniemy cel, który sobie w młodości postawimy, że zawsze w każdej okoliczności życia liczyć będziemy mogli na „własne siły".

Jak wyrabiać swój charakter i ćwiczyć silną wolę, powiem w następnej gawędzie. **J. M. A.**

HELENA ZAKRZEWSKA.

KIEDY BABCIA BYŁA MAŁA.

II.
NAWRÓCENIE GRZESZNIKA.

Babcia miała lat dziesięć, kiedy zdarzyła się ta dziwna historja. A było to tak:

Ksiądz proboszcz zwrócił rodzicom uwagę, że czas już przygotować dziewczynki do pierwszej komunji. Poradził im też, aby dziewczynki przyjeżdżały na naukę do klasztoru Felicjanek, znajdującego się we wsi sąsiedniej, gdzie właśnie odbyć się miała taka uroczystość. Siostry Felicjanki utrzymywały bowiem przy klasztorze rodzaj schroniska dla sierot, w którem wychowywało się około dwudziestu dziewczynek. Ksiądz proboszcz uważał, że zarówno dla panienek ze dworu, jak też dla biednych sierotek będzie to z wielką korzyścią, jeśli razem przeżyją tę wzruszającą chwilę.

Była to dla babci i jej wesołych siostrzyczek rozrywka nielada. Codzień bowiem zajeżdżał przed ganek stary Jan i dziewczynki w towarzystwie nauczycielki jechały na kilka godzin do klasztoru. Wszystko tam było dla nich interesującą nowością. Białe klasy, z obrazami świętych na ścianach, poważne zakonnice w czarnych welonach i bronzowych habitach, wreszcie mnóstwo milutkich dziewczynek z gładko przyczesanemi włoskami, w szarych jednakowych fartuszkach.



W górach.

Babcia miała w tych czasach wielką skłonność do pobożności, to też urok klasztornego życia wywarł na niej wielkie wrażenie. Szczególniej podobała jej się kaplica klasztorna, biała i surowa, tylko ołtarz, z którego wychylała się słodka twarz Matki Boskiej, tonął w kwiatach wiosennych. Babcia spędzała w kaplicy wszystkie wolne chwile, pogrążona w bezdennym zachwycie. Zauważyła to siostra furtjanka, sama wielce pobożności oddana. To też pewnego razu, kiedy babcia klęczała w kaplicy, siostra furtjanka skinęła na nią, zaprowadziła ją do swej malutkiej celi przy furcie i podarowała jej prześliczny obrazek, przedstawiający jagniątko, zaplątane w krzak cierniowy. Od tej pory wielka przyjaźń zapanowała między babcią a starą furtjanką. Opowiedziała ona babci historję swego brata, misjonarza, który poległ w Chinach śmiercią męczeńską w czasie powstania kulisów. Siostra furtjanka płakała z żalu, że sama nie może zostać misjonarzem, ażeby móc nawracać bezbożnych pogan.

Babcia przejęła się gorąco pragnieniem siostry Marty. Rozumiała to dobrze, że i ona także misjonarzem nigdy nie zostanie. Ale codzień w pacierzu wieczornym, odmawianym wspólnie w sypialni, dodawała pocichu słowa: O Boże, pozwól mi nawrócić bodaj jednego grzesznika.

Na rozstanie siostra Marta podarowała babci piękną książkę p. t. „Żywoty Świętych Pańskich“, która kiedyś była własnością brata męczennika. Babcia, przejęta głębokiem wzruszeniem, nie rozstawała się przez długi czas z tą książką, zabierając ją z sobą do ogrodu lub w pole i rozczytywała się w niej z świętobliwym zachwytem. W owych czasach marzyła też ciągle o życiu pełnem niebezpieczeństw, pośród zbójców i morderców, którzy pod jej wpływem zamienić się mieli w niewinne jagniątka.

Mimo tak podniosłych pragnień babcia bawiła się i dokazywała z innemi dziećmi, jak wszystkie dziewczynki w jej wieku.

Pewnego pięknego dnia jesiennego przybyli do dworu goście z całą gromadką dzieci. Właśnie na podwórku odbywała się w najlepsze wesoła gonitwa, kiedy nagle stanął we wrotach gość niespodziewany. Był to żandarm z sąsiedniego posterunku. Zasalutował pięknie przed babcią i poprosił o przywołanie pana dziedzica.

— „Sprawa bardzo ważna i pilna“ — dodał z przyciskiem.

Oczywiście na to wezwanie zjawił się nietylko ojciec, ale razem z nim matka i wszyscy goście z salonu. Na wsi każde najdrobniejsze zdarzenie wywołuje wielkie zainteresowanie. To też w parę minut potem wszyscy mieszkańcy dworu wiedzieli już, że w okolicy pojawiła się zuchwała banda koniokradów, pod wodzą słynnego herszta, zwanego Czarnym Jakóbem. Banda ta zakrada się nocą do zamożniejszych gospodarstw, zabiera konie i znika bez wieści. Właśnie ostatniej nocy obrabowano doszczętnie z koni sąsiedni folwark. Trzeba się więc mieć na baczności, przetrząsnąć dokładnie całą najbliższą okolicę i w nocy koło stajen poustawiać straże. Właśnie przed godziną jeden z żandarmów postrzelił pod lasem podejrzanego osobnika, który śledził z poza krzaków stadninę dworską. Niestety jednak, bandyta ów zdołał umknąć bez śladu.

Oczywiście wiadomość ta poruszyła żywo wszystkich mieszkańców dworu. Służba rozbiegła się natychmiast po budynkach folwarcznych dla przeprowadzenia rewizji, zaś dzieci, troszkę stropione wiadomością o bandytach, podsunęły się pod ganek, żeby czuć się bezpieczniejszemi pod osłoną białych ścian dworu.

— W co się będziemy bawić? — zapytał chłopczyk, przybyły z wizytą.

— Na podwórzu stoi wóz, którym zwożono siano. Siądziemy wszyscy do wozu i będzie to niby wyprawa przez Pampasy amerykańskie, dobrze? — zaproponowała najstarsza siostrzyczka babci.

— Doskonale! — zawołały chórem dzieci i żwawo skoczyły na podwórze. Skoro jednak objęły wóz w posiadanie, okazało się, że brak im kilku arcyważnych rzeczy, bez których żadna zabawa obejść się nie może. Naprzykład bat! czy można w czasie podróży przez Pampasy nie mieć prawdziwego bata? Konie, to głupstwo! Konie mogą być „na niby“. Ale bat musi być „prawdziwy“. Wiedzą o tem dobrze wszystkie dzieci.

Okazało się jednak, że wszystkie lejce i baty są w polu przy orce.

— Znalazłoby się napewno coś w starej wozowni —

rzekła jedna z dziewczynek. — Tam jest dużo starej uprzęży. Ale kto tam pójdzie?

Stara wozownia leżała dość daleko poza ogrodzeniem dworskiem, a wobec wiadomości o bandytach nie było rzeczą najprzyjemniejszą oddalać się od domu.

— Ja pójdę! — odezwała się nagle babcia. Wsunęła ręce w kieszonki fartuszka i dumnym krokiem poszła odważnie w stronę wozowni, w pełnem poczuciu niezwykłego swego bohaterstwa.

Babcia nie należała z natury do dzieci odważnych. Teraz jednak, pod wpływem „Żywotów Świętych“, powiedziała sobie, że jeśli chce zostać „świętą“ i nawracać grzeszników, to nie wolno jej bać się, jak zwykłej dziewczynce. I odrazu rozpaliło się w niej gorące pragnienie. Ach! gdybyż tak dowiedzieć się, gdzie jest kryjówka bandy koniokradów... z jakąż radością babcia udałaby się tam sama... samiutka... jakże umiałaby skruszyć tym niegodziwcom sumienia i zamienić ich w białe, słodkie gołąbki...

Drzwi od starej wozowni były uchylone, co odrazu zwróciło na siebie uwagę babci. Zwykle bowiem były zamknięte i otwierały się tylko w pewien sposób, znany jedynie mieszkańcom dworu. Babcia nie zawahała się jednak i śmiało weszła do środka. W wozowni było prawie zupełnie ciemno. Tuż koło drzwi leżał stos starych taczek, połamanych sprzętów i innych rupieci, które zimową porą naprawiano i przysposobiano do użytku. Dalej ciemność ziała pustką i wilgocią. Babcia z bijącem sercem wspięła się na stare taczki, które zagradzały jej drogę i skoczyła w dół. I w tej chwili serce zamarło w niej z lęku. Bo oto nogi babci natrafiły na coś miękkiego i żywego, głuchy ryk wściekłości zawarczał w ciemnościach, straszliwe jakieś łapy uchwyciły ją wpół brutalnie — babcia poczuła, że leci w przepaść i ze strachu straciła przytomność.

Kiedy po chwili otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą najokropniejszą twarz ludzką, jaką kiedykolwiek widziała na świecie. Był to wielki, kudłaty łeb, z oczami błyszczącemi dziko z pośród kłaków siwiejącej, aż na skronie zachodzącej brody. Ogromne łapy tego potwora przygniatały dziewczynkę mocno do ziemi. Babcia zamknęła oczy ze strachu, a wówczas potwór mruknął ze złością:

— Tylko cicho, moje kurczątko, tylko cicho! Ani mru-mru, bo jak cię chwycę palcami za gardziołko, to ani zipniesz! Co za djabli cię tu przynieśli?

Babcia otworzyła oczy i dygocząc całem ciałem usiłowała coś wymówić.

— Cicho! — syknął potwór przytłumionym szeptem. — I cóż ja teraz z tobą zrobię? Puszczę cię, to narobisz krzyku, a ja ruszyć się nie mogę, bo mi żandarm psiawiara przestrzelił nogę. Ledwiem się tu dowlókł z wielką biedą!

Babcia naraz doznała radosnego olśnienia, jakby spadło na nią objawienie boże.

— Puść mnie, ja nikogo tu nie sprowadzę! — rzekła pocichu drżącym jeszcze głosem. — Ja ci przyniosę wody i bandaże i zaopiekuję się tobą. Wiem teraz, że Bóg cię tu sprowadził. Tak gorąco go oto prosiłam!

Oczy potwora rozszerzyły się nagłem zdumieniem a ucisk łap mimowoli zwolniał trochę. Nagły, cichy śmiech zatrząsł kudłami brody.

— Bóg mnie tu sprowadził? ty go o to prosiłaś? Cóż to znów za heca? I czemuż to prosiłaś Boga, żeby mnie tu sprowadził, moje małe kurczątko?

— Bo ja chcę być świętą, a dotąd nie miałam żadnego grzesznika, żebym go mogła nawrócić... — rzekła rezolutnie babcia. — Ja wiem, ty jesteś Czarny Jakób... tu zadławiła się nagle, bo ciężka łapa bandyty spadła jej na usta. Ale babcia odsunęła bez obawy tę wielką łapę swojemi małemi rączkami i mówiła dalej śmiało:

— Nie bój się, mnie się możesz nie bać, Czarny Jakóbie. Zrobimy taki układ: ja cię będę tu ukrywała i pielęgnowała, a ty się dasz nawrócić. Dobrze!

Zbój przyglądał się dziewczynce ze zdumieniem i niedowierzaniem. Widocznie jednak było w niej coś takiego, co przemogło jego nieufność ,bo wypuścił ją ze swych łap kosmatych i pomógł jej dźwignąć się z ziemi. Teraz dopiero spostrzegła babcia, że jedna noga bandyty tonęła we krwi.

— Nie wiem, co ty tam szczebioczesz o grzesznikach i świętych, ale wiem to, że rana piecze mnie okrutnie i gorączka mnie pali. Mówiłaś, że przyniesiesz mi szmat i wody?

— Przyniosę! — rzekła babcia.

— I nikomu o mnie nie powiesz?

— Nikomu! — zapewniła uroczyście babcia.

— No to idź i wracaj prędko. — A pamiętaj, jakbyś mnie zdradziła, pomszczą mnie moi towarzysze! Dwór z dymem puszczą! — zagroził chrapliwie.

Ale babcia uśmiechnęła się do niego najpromienniejszym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć. Jakże go miała zdradzić? Był przecież jej własnym grzesznikiem, zesłanym jej przez Boga, aby go mogła nawrócić. W sercu czuła uniesienie wielkiego szczęścia. Nie posiadała się z radości i z dumy. Z wielką czułością spojrzała na kudłatego rozbójnika.

— Czekaj tu na mnie cierpliwie, mój biedaku! — rzekła serdecznie — a tymczasem zmów sobie pacierz na początek, jeśli umiesz. Ale ty pewno nie umiesz pacierza, bo któżby cię nauczył? Zbójcy w mojej książce także nie umieli pacierza i dopiero potem się nauczyli. Siedź sobie cichutko, ja tu zaraz wrócę!

I wyślizgnęła się z szopy, przymykając starannie drzwi za sobą. Czarny Jakób pokiwał głową. Cała ta przygoda wydała mu się czemś zupełnie niesamowitem. Czy wróci to dziwne dziecko... i... zdradzi, czy nie zdradzi? myślał z trwogą. Wziął do ręki nadłamane widły i nawpół leżąc, czekał z bijącem sercem.

Nie, nie zdradziła! Przybiegła zadyszana, różowa jak kwiatek, niosąc pod fartuszkiem spory dzbanek wody, kawał chleba i zwitek bandaży. Pomogła „swojemu grzesznikowi“ obmyć ranę i założyć opatrunek. Potem przytaszczyła z jakiegoś kąta wiązkę słomy i kazała mu się na niej położyć.

— Śpij teraz i nie bój się! — rzekła troskliwie. — Jutro rano przyniosę ci śniadanie, a potem zaczniemy nawracanie. Pa... dobranoc... muszę iść, bo mamy gości, a nie chcę, żeby ktoś mnie tu wyśledził.

Frunęła ku drzwiom, jak ptaszek, posyłając mu od progu pocałunek. Wiedziała już z czytania, że tylko sercem i uczuciem skruszyć można zatwardziałe serce zbrodniarzy. A jednak uczucie, jakie czuła dla „swego grzesznika“, nie było uczuciem wyrozumowanem. Składała się na nie głęboka wdzięczność, że wogóle pojawił się w jej życiu i serdeczne politowanie nad jego nędzą fizyczną i moralną.

Czarny Jakób pozostał sam, wpatrzony we drzwi z szeroko otwartemi ustami. Twarz jego przybrała wyraz taki, jakiego pewnie nikt nigdy dotąd na niej nie oglądał. Po chwili z westchnieniem ułożył się na słomie. Ale długo jeszcze miał w oczach postać uśmiechniętej dziewczynki i słyszał jej głos... dziwny... głos, jakim do niego nikt w życiu nie przemawiał.

Odtąd zaczęło się dla babci dziwne życie. Każdą wolną chwilę spędzała potajemnie przy swoim grzeszniku. Przewijała mu ranę, karmiła go i poiła — a potem zasiadała przed nim z „Żywotami Świętych“ na kolanach i w mdłem świetle szopy czytała mu półgłosem najpiękniejsze ustępy. Grzesznik z początku zasypiał przy tej lekturze, albo złościł się i zaczynał kląć brzydko. Ale kiedy babcia zagroziła mu, że więcej już nie wróci, pogodził się z losem i słuchał z rezygnacją budujących opowieści o podobnych sobie zbrodniarzach, którzy doczekali się zbawienia.

Babcia nie miała z nim wcale lekkiego życia. Grzesznik używał grubych wyrażeń, klął okropnie, domagał się wódki i mówił szkaradne rzeczy o świecie i o ludziach. Czasem, kiedy był w lepszym humorze, zaczynał opowiadać o swoich bohaterskich uczynkach.

— Jakbym powiązał za ogony te wszystkie konie, com je w życiu pokradł, toby sięgały stąd aż do kościoła w Czersku. Ze dwie mile-by ich było! — przechwalał się z pychą, podczas gdy babcia truchlała z przerażenia.

— Ale ludzi nie zabijałeś? — pytała z bijącem sercem.

— Eee, ludzi to nie! Coby zaś! Krwią rąk nie paskudziłem, inom się w koniach okrutnie kochał od maleńkości.

— To czemu nie zostałeś koniuszym w jakim wielkim dworze, albo chociażby fornalem?

— Aale! Fornalem! — drwił gorzko. — Albom to miał ojców, coby mnie na człowieka wykierowali? Sam się chowałem, jak ten psiak opuszczony, w głodzie i chłodzie... Łachmany miałem na grzbiecie, to mnie nawet najpodlejszy gospodarz do służby wziąć nie chciał. A tu się we mnie serce do koni rwało... Tak z tej zawziętości przystałem do bandy, siedemnaście lat mi wtedy było! Zacząłem konie kraść... a dziś ja pirszy koniokrad na cały kraj! Któż nie zna Czarnego Jakóba? — chełpił się zuchwale.

Babcia ze ściśniętem sercem słuchała tych zwierzeń.

— Nawróć się, Czarny Jakóbie — mówiła ze smutkiem — przestań kraść.. Pan Bóg jest dobry, on ci w niebie to wszystko wynagrodzi!

— Hale, wynagrodzi! A czy to w niebie są konie? Hej, jak sobie przypomnę tego karosza, com go panu staroście ukradł... będzie temu z pięć roków... to był koń! Z gwiazdką na czole, z grzywą jedwabną, jak warkocz u dziewuchy... aż się dusza radowała! Hej...

I zatapiał się w grzesznych wspomnieniach. Wówczas babcia podwajała swoją gorliwość i aż do utraty tchu nawracała go za pomocą własnych perswazyj i „Żywotów Świętych".

Czy jednak to nawracanie sprzykrzyło się wkońcu staremu bandycie, czy też noga podgoiła się jako tako, dość, że Czarny Jakób znikł pewnego razu ze starej wozowni, pozostawiając w niej tylko karteczkę, naskrobaną zwęglonym patykiem. Na kartce widniały słowa:

„Dzienkuje moi małyj świentyj Odwdziencze sie wkrutce
z uszanowaniem Czarny Jakub".

Babcia była przez długi czas niepocieszona, że grzesznik nie doczekał się chwili całkowitego nawrócenia. Zaczynała już mieć tak dobre nadzieje! Wolała więc nikomu o tej historji nie opowiadać.

Nadeszła zima. Spadły obfite śniegi. Życie wiejskie toczyło się zwykłym, jednostronnym trybem. Nagle gruchnęła wiadomość, że Czarny Jakób pojawił się znów ze swą bandą w okolicy. Sąsiedni dwór został doszczętnie ograbiony z koni. Serce babci zalewało się krwią! Ładne nawrócenie! Tyle trudu sobie zadała i wszystko na nic...

Pewnej nocy do okna dziecinnego pokoju ktoś zapukał ostrożnie raz i drugi. Okno — jak zwykle — nie było przysłonięte roletą. Babcia obudziła się i podniosła głowę. Nauczycielka, przestraszona pukaniem, spojrzała w okno, wrzasnęła i uciekła z pokoju. Dziewczynki zbudzone zaczęły płakać. Za szybą zamajaczyła wielka, brodata twarz, o błyszczących oczach, a ogromna łapa zaczęła dawać tajemnicze jakieś znaki. Można było rzeczywiście umrzeć ze strachu.

Babcia jednak poznała odrazu Czarnego Jakóba. Uspokojona, jednym susem znalazła się przy oknie, otwarła lufcik i wychyliła głowę.

— Rybeńko moja — szeptał stary zbój zadyszanym głosem — każ obudzić ludzi... banda mi się zbuntowała.. walą na dwór... jeśli zawczasu nie sprowadzicie obrony, niech się tatuńcio pożegna z konikami! Tylko prędko, spiesz się...

Kosmata twarz znikła w czerni nocy. Babcia jak strzała pomknęła do sypialni rodziców.

— Tatusiu... prędko! — zaczęła wyrzucać z siebie urywane słowa. — Trzeba budzić ludzi... banda zbuntowana... wszystkie konie nam wykradną! Czarny Jakób sam ostrzegł! Trzeba posłać po żandarmów... tylko prędko, na miłość boską!

— Dziecko bredzi, to widoczna maligna! — zawołał przerażony ojciec, wyskakując z łóżka.

— Nie bredzę, tatusiu! Nasze konie... nasze śliczne siwki... Tatusiu, ja mówię prawdę, później wszystko opowiem! — rozpłakała się nieszczęsna dziewczynka.

Matka nie pytała długo.

— Zarządź, co potrzeba! — rzekła do męża. — To dziecko ma zawsze jakieś podejrzane znajomości. Jestem pewna, że mówi prawdę i że jest dobrze poinformowana. Chodź tu córeczko, nie płacz i opowiedz mi wszystko od początku.

Ojciec ubrał się śpiesznie, obudził rządcę i obaj pocichu i sprawnie zorganizowali zbrojne pogotowie. Dano znać na wieś. Gospodarze, zaniepokojeni o swoje konie, uzbroili się także, czem kto mógł i ułożyli plan zasadzki. I podczas kiedy babcia opowiadała bezładnie, w jaki sposób zapragnęła zostać świętą, banda koniokradów, zaskoczona znienacka, wpadła w ręce gromady, tak, że ani jeden hultaj nie uszedł rąk sprawiedliwości. Brakło tylko Czarnego Jakóba. W serce babci wkradł się nanowo promyk nadziei. Zaczęła znów przy wieczornym pacierzu modlić się serdecznie za swego przyjaciela.

Po kilku miesiącach zgłosił się do dziedzica jakiś starszy, przyzwoicie odziany człowiek. Prosił o posadę kowala dworskiego, która właśnie była wolna. Jako rekomendację przyniósł z sobą list od księdza proboszcza, bardzo gruby i starannie zapieczętowany. Ojciec przy czytaniu tego listu dziwnie się mienił na twarzy, a potem — zmięszany i zakłopotany — wywołał matkę do kancelarji i długo z nią się naradzał. Potem zawołał małą kandydatkę na świętą i wyprawił ją do kowala z oświadczeniem, że zostanie przyjęty.

Jakież było zdumienie babci, kiedy w tym gładko ostrzyżonym i przyzwoicie odzianym rzemieślniku poznała.. swego grzesznika.

— Ach, nawróciłeś się przecie, dzięki Bogu! — zawołała radośnie i rozpłakała się ze szczęścia.

Stary miął czapkę w ręku i patrzył na dziewczynkę oczami, pełnemi szacunku i psiego przywiązania.

Czarny Jakób otrzymał posadę kowala we dworze i do śmierci na niej pozostał. Oddał się cały ubóstwianiu koni, które kuł — i swojej małej świętej, która nie przestała go nawracać. W wolnych chwilach czytywał pilnie „Żywoty świętych", które z kolei stały się jego własnością. Oczywiście nikt z ludzi dworskich nie znał jego tajemnicy i nikomu nawet na myśl nie przyszło, że mieli w swem gronie słynnego niegdyś koniokrada.

Czasem tylko, gdy stary Jakób rozmarzył się i zaczął wspominać:

— Ho... ho... te konie, com je pokradł... — czeladź śmiała się z niego pocichu i mówiła:

— Nasz kowal ma zajączki we łbie.

W taki sposób spełniło się życzenie babci. Nawróciła prawdziwego grzesznika, a trzeba przyznać, że to się nie każdemu w życiu zdarza.

JAK ANTEK CWANIAK ZOSTAŁ UCZONYM.

ROZDZIAŁ I.

Zaczyna się wszystko od awantury.

Antek Cwaniak, sławny wódz Wilczęcej Gromady, był mądry. Wiedzieli o tem wszyscy wilczacy, chociaż nie pojmowali, skąd mądrość owa zstępowała na ich wodza. Sam Cwaniak najchętniej powoływał się na roztropne nauki swej ciotki sklepikarki i wuja — żołnierza, ale musiało tam jeszcze być coś innego. Może zdobywał mądrość, czytając „Tarzana wśród małp", może oświecały go lekcje szkolne, a może ważne rozmowy, jakie prowadził z mądrzejszymi od siebie i starszymi kolegami? Nic tu się nie da powiedzieć napewno, prawdą jednak zostanie wieczną, że Cwaniak był mądry i dlatego też rozumiał wiele prawd. Między innemi pojmował ten Cwany Wilk, że jeśli chce swą gromadę utrzymać w bojowym stanie, jeżeli chce swych wilczków dobrze wykształcić i wyrobić, musi ciągle takie obmyślać zbiórki, żeby jedna była ciekawszą od drugiej. Inną prawdą, rozbijającą się po głowie Antka, była świadomość, że wilczacy powinni bywać, jak najczęściej razem, żeby wszyscy stali się przyjaciółmi na śmierć i życie — bo wtedy dopiero ćwiczenia wilczęce wyjdą im naprawdę na pożytek.

Żeby zaprowadzić przyjaźń w gromadzie różne obmyślał Antek awantury. Raz zebrał wilczków późnym wieczorem w ciemnym pokoju i zapaliwszy świeczkę, lekko przekłuwał szpilką skórę na ręku każdego chłopca, żeby każdy mógł „napić się" krwi kolegi i przez to stać się jego bratem. Innym razem kazał, by w szkole wilczacy zamieniali się śniadaniami, kiedyindziej znów postanowili wszyscy razem iść do spowiedzi i komunji św. Ale naprawdę dobry pomysł doradziła Cwaniakowi dopiero ciotka:

— Te, Antek, jeżeli już tak do smaku przypadły ci twoje tam chłopaczyska, to możesz z nimi zbierać się czasem u mnie w sklepie po zamknięciu. Zrobię wam wtedy herbaty, tylko każdy niech przyniesie z sobą bułkę, czy chleb, bo dla wszystkich swego nie nastarczę. Ale niech was ręka Boska broni, aby co który tknął w sklepiku!...

Antek aż podskoczył z radości i obiecał, że nikt niczego w sklepiku nie ruszy, byle tylko ciotka dla większej pewności zabierała z sobą puszkę z landrynkami. I odtąd zaczęły się herbaciane zbiórki, na które schodzili się wilczacy parę razy na miesiąc i nic innego nie robili, tylko pili, jedli, krzyczeli i opowiadali, co który chciał, albo bawili się w najlepsze gry. A gdy dowiedział się o tych zbiórkach ojciec wilczka Zygmusia, który był inżynierem w fabryce, to powiedział Zygmusiowi, że ciotka Antka jest bardzo mądrą i że on, ważny pan inżynier, też zgadza się, żeby do Zygmusia przychodzili wilczacy i nikt im w dużym pokoju nie będzie przeszkadzał jeść, krzyczeć i biegać.

Raz na taką herbacianą zbiórkę zaprosił się do wilczków pewien starszy harcerz, który powiedział Antkowi, że może naopowiadać wilczkom dużo ciekawych rzeczy, bo sam był w Anglji na wielkim złocie skautów z całego świata i tyle widział tam ciekawych rzeczy, że...

— To będzie festne opowiadanie — przerwał harcerzowi Antek — tylko, czy druh potrafi do wilczków mówić? Bo był już u nas jeden harcerz, ale jak zaczął coś ględzić o wódce i tytoniu, tośmy wszyscy pozwiewali ze zbiórki. Z wilczkami trudno się dogadać — zakończył poufale.

Harcerz najpierw się obraził, ale potem namyślił i obiecał, że przyjdzie i tylko najciekawsze będzie opowiadał rzeczy. A najwięcej o wilczkach różnych narodów.

Gdy więc zebrali się chłopcy w sklepiku ciotczynym, zjawił się tam i ów harcerz — podróżnik. Wilczacy, popijając herbatę i majtając nogami, obsiedli harcerza, a ten odrazu zaczął opowiadać. I odrazu zobaczyli wilczacy, że będzie ciekawe. Najwięcej zaś podobało się wszystkim, gdy harcerz opowiadał o chłopcach różnych narodów — o Murzynach, Japończykach i różnych Amerykanach. Ale jak powiedział, że Generał Baden-Powell, ten, który wynalazł skauting, jest już staruszkiem i łysym — nikt nie uwierzył, a Plisiuk nawet zaczął wołać:

— Niech druh nie buja! Myśmy wszyscy widzieli Baden Powella na rysunkach i wszędzie był z włosami! Z początku było ciekawe, ale teraz już się zaczyna bujda!

Biedny harcerz znów się chciał obrazić, ale widocznie przypomniał sobie przestrogi Cwaniaka, bo przestał opowiadać o Baden Powellu, natomiast wyjął dużo fotografij z Jamboree (tak się ten zlot nazywał) i pokazując je, mówił jak najęty o teatrze zlotowym, błocie, o tem, jak się jeden skaut topił, a inny bardzo dobrze rzucał lassem. A lasso — to taki sznur z pętlą, którym rzucają konni pasterze w Afryce i Ameryce, kiedy chcą złapać pędzącego byka albo krowę.

— Było to też? Byki i krowy dzikie? Biegały tam naprawdę? — rzucali pytania, rozgorączkowani wilczacy.

— Nie. Byków i krów nie łapano na Jamboree — tłumaczył harcerz. Tylko tak sobie, na niby, w czasie przedstawień w teatrze i na dużej arenie jamborowej popisywali się skauci afrykańscy celnem rzucaniem lassa. Na tej arenie były ciągle różne popisy, a razu jednego cały dzień popisywały się same tylko gromadki wilczęce.

— Czy wilczęta z Nowej Zelandji i Węgier też? — spytał uczenie Zygmuś.

— Nie. Same tylko angielskie gromady pokazywały, co umieją. Ale też zjechali się wilczacy angielscy z całego kraju, a popisy swoje robili tak dobrze, że skauci różnych narodów zaczęli im nawet zazdrości. Największym popisem było przedstawienie przygód Mowglego.

— Auuu!! — zawył, niewiadomo dlaczego Kostek.

— Auuuu!! — podchwycili odrazu wszyscy wilczacy, którym naraz przypomniały się zbiórki i zabawy w Mowglego, Bagheerę, Szer-hana. A Cwaniak nawet zaczął śpiewać: „Do Akila wilki tu, wilki tu, wilki tu..." lecz szybko ugryzł się w język, żeby nie robić na zbiórce bałaganu i poprosił harcerza o dalsze opowiadanie.

Harcerz-podróżnik mówił więc znowu. Opowiadał, że coś ze stu wilczków przebrało się w szare trykoty za prawdziwych wilków, Mowgli miał tylko skórę jakiegoś zwierzaka na biodrach, a jego własna skóra posmarowana była na bronzowo, włosy zaś miał strasznie potargane. Byli też wilczacy poprzebierani za niedźwiedzia i panterę. A najśmieszniej zrobiono węża Kaa, bo dwudziestu wilczków stanęło jeden za drugim i pochyliwszy się, chwycili się za pasy; z wierzchu zaś przykrywało ich wielkie, długie płótno, pomalowane na podobieństwo skóry węża. Wilczak, który był na czele, niósł przed sobą wężową głowę. Oj, co to był za wąż! Zupełnie jak żywy i na swoich czterdziestu nogach poruszał się zupełnie, jak najprawdziwszy płaz.

Przedstawienie było zupełnie takie, jak opisują książki o Mowglim. Wilczacy nic nie gadali, tylko wyli, pokazywali na migi, biegali, machali rękoma, a każdy poznał, że teraz przedstawiają porwanie Mowglego przez tygrysa, potem — wychowywanie Mowglego przez wilczycę, a potem Krąg Rady i lekcje mądrego Balu i wogóle wszystko. —

— Tra-ra! — zawołał Franek. To i nasza gromadka takie przedstawienie mogłaby kiedy zrobić.

— No, o Mowglim moglibyście — odrzekł harcerz — bo na zbiórkach bawiliście się w te gry, ale wilczęta angielskie zrobiły jeszcze inny pokaz, którego wasza gromadka nie potrafiłaby urządzić. —

— Dlaczego? — zaczupurzył się Antek. — Cóż to było?

— Było tak: wilczacy urządzili wielki pochód historyczny z dziejów Anglji. Najpierw uciekała grupa pogan Brytańczyków przed napadającymi na nich Rzymianami; Rzymianie ubrani byli po rzymsku, w pancerze i hełmy z tektury polepionej srebrnym papierem; poganie, uciekając, zatrzymywali się niekiedy i wtedy wynikała prawdziwa walka. Potem nastąpiła druga scena: do Anglji przybyli mnisi i różni święci i zaczęli nawracać pogańskich Anglików; a każdy wilczak, przebrany za mnicha, miał prawdziwy habit ze starych sukienek matek i sióstr i wszyscy trzymali w rękach duże krzyże drewniane. I dużo — dużo było takich scen historycznych, bo pokazywali

Franek pierwszy, jak przystało na pomocnika wodza, spróbował trochę pocieszyć gromadę. —

— O-wa, Anglicy! To i cóż z tego, że zrobili taki historyczny pokaz? Może to było ciekawe i uczone, ale pożytku z tego nijakiego niema. A ojciec zawsze mi gada, że tylko głupi robi coś po próżnemu. My, jak się bawiliśmy w różne gry, to Antek zawsze tak kombinował i naradzał się z drużynowym, żeby dla gromady była ze wszystkiego jaka korzyść. I na każdej zbiórce żeśmy się wykształcili w jakiemś ćwiczeniu albo wprawie wilczęcem. A czas marnować dla popisywania się przed publicznością — to frajerska zabawa, a nie żadna porządna robota. Ot i koniec.



Ze zbior. Państw. Rady Ochr. Przyr. Babia Góra: Widok z Kościółek na Małą Babią (Cyl). fot. W. Goetel.

je wilczacy z całej Anglji i pokazali prawie całe dzieje swej ojczyzny. Nawet w jednej scenie zrobione były małe wozybudy, które ciągnęły wprzągnięte „konie". W wozach tych siedzieli chłopcy poprzebierani za kolonistów — Anglików, osiedlających się w Ameryce. Aż nagle na podróżników-kolonistów wypadli dzicy Indjanie i taka była wojna białych z Indjanami, że aż dorośli skauci musieli rozbrajać walczących. No, teraz powiedźcie sami, czy potrafilibyście urządzić taki pokaz?

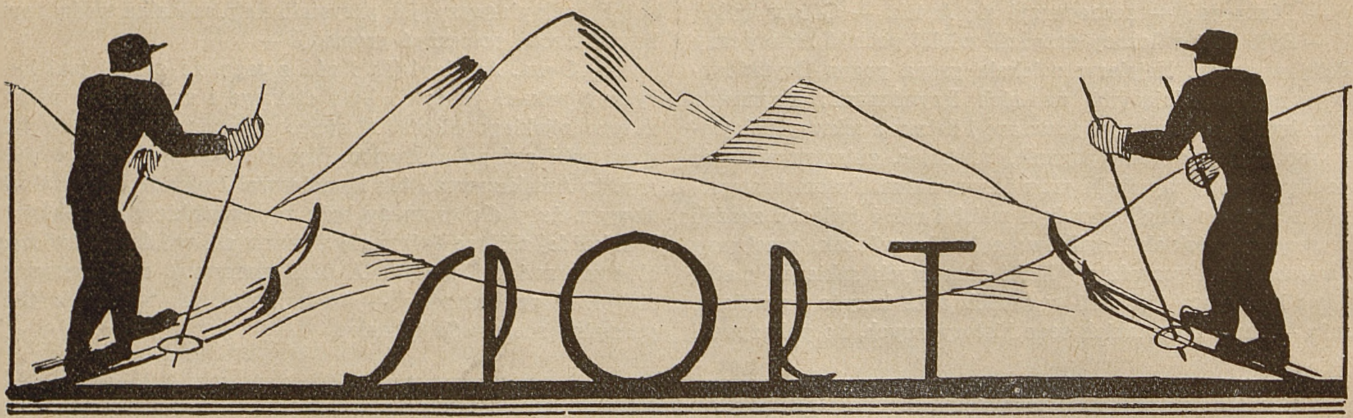
Chłopcy siedzieli zasępieni. Nikt nie odpowiadał. Nie — stanowczo ich gromadka nie potrafiłaby zrobić takiego pokazu. Mało kto wiedział jakieś historje o Anglikach, jeden tylko Franek coś bąknął, że Szerlok Holmes, który łapał złodzieji był Anglikiem i że możnaby zrobić pokaz łapania złodzieja. Ale wszyscy wiedzieli, że to marny pomysł i nieciekawie by wyszedł, bo złodzieje nie potrzebują przebierać się w srebrne pancerze z tektury i nie mają też wielkich mieczów, a cóżby to było za przedstawienie bez przebierania się? Zamilkli więc ostatecznie i smutna cisza zaległa w sklepiku; każdy bowiem wilczak zazdrośnie myślał o tych małych Anglikach poprzebieranych za królów, rycerzy, Indjan i konie i każdy wiedział, że oni, wilczacy polscy, takiego przedstawienia zrobić nie potrafią. —

— Dobrze gada — wtrącił uśmiechnięty Cwaniak — tylko za nisko stoi. Bo i ja myślę, że jak już robić, to tak, żeby była z tego korzyść dla naszych ćwiczeń. Ale przecież można i tak wykombinować, że do pokazu długo trzeba byłoby przygotowywać różne klawe ćwiczenia, a nawet cały pokaz mógł by się składać z samych morowych ćwiczeń. I pomyślcie, wilczki, jakby to było morowo ćwiczyć się i ćwiczyć, a potem przebrać się w różne ubiory za królów, smoki i rycerzy i zrobić fest przedstawienie dla całego hufca i dla naszych starych. Oj, to dopiero byłaby frajda! Palce lizać! Ale jak to wykombinować?!

Uwagi Cwanego Wodza podnieciły wyobraźnię wilczków. Już każdy chciał opowiadać, skąd i jakie dostanie stroje, żeby przebrać się za króla, ale ostatnia wątpliwość Cwaniaka trochę ochłodziła niepokój chłopców. Siedzili więc cicho i jedni na drugich spoglądali, czekając jakiejś mądrej rady.

Nagle Antek podniósł głowę i nadstawił ucha: jakiś niewyraźny szmer dochodził od drzwi, prowadzących na ulicę. Coś jakby chrobotało w te drzwi i delikatnie manipulowało koło rączki. Zmieszany Cwaniak przyłożył powoli palce do ust, aby nikt się nie poruszał i nie szeptał, sam zaś słuchał dalej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



CZY NALEŻY ORGANIZOWAĆ ŻEŃSKIE HARCERSKIE DRUŻYNY ŻEGLARSKIE.

Żywiołowy rozwój męskich drużyn żeglarskich jest dowodem, że sporty wodne — pływanie, wioślarstwo, żeglarstwo i turystyka wodna — oraz prace z niemi związane, są wspaniałemi środkami wychowawczemi. Z istoty swej mają bowiem — że się tak wyrażę — zacięcie skautowe, bo w odróżnieniu od innych, wpływających przedewszystkiem na rozwój fizyczny, rozwijają harmonijnie fizycznie i duchowo, kształcąc charakter, umysł i uczucia estetyczne. Nasuwa się przeto pytanie, czy harcerskie drużyny żeńskie mają być pozbawione tych środków wychowawczych, czy też winny je również stosować, a jeżeli tak, to w jakiej mierze.

Śmiem twierdzić, że żaden dział sportów kobiecych, za wyjątkiem może narciarstwa, nie wytrzymuje konkurencji ze sportami wodnemi, zwłaszcza gdy je traktujemy z wychowawczego punktu widzenia. Daleki jestem oczywiście od potępiania innych działów wychowania fizycznego, chcę jedynie zaznaczyć, że pewne są mniej lub więcej wartościowe w odniesieniu do dziewcząt. Przypatrzmy się zaś, jakie wartości dla wychowania kobiecego wnoszą sporty wodne.

Pływanie, którego nauka winna być wstępem do wszelkich innych sportów wodnych, połączenie harmonji i rytmu ruchów, robi estetyczne wrażenie, daje poczucie własnej siły i odwagi. Jest to jeden z nielicznych sportów, w którym kobiety osiągają wyniki mało co gorsze od mężczyzny, co wskazuje, że nie odgrywa tu roli siła fizyczna i że sport ten odpowiada fizycznemu i nerwowemu ustrojowi kobiety.

Wioślarka — to zgrana orkiestra rytmicznie pracujących mięśni całej załogi, to poddanie swej indywidualności kierującej woli sternika, to poczucie siły zbiorowego, zgodnego wysiłku, nawet przy słabych siłach jednostek. I znowu rytm, harmonja i piękno cechują ten sport i nadają mu szczególną wartość w wychowaniu wszechstronnem harcerki.

Żeglarstwo — to klejnot sportów, to żywa poezja na lazurowych dalach, w rozbryzgach srebrnych bruzd fal, w jasnych promieniach słońca. To ćwiczenie nieugiętego hartu ducha wśród poryku burzliwego wichru i czarnych, kapryśnie miotających się zwałów. To napięte, jak stalowe struny, nerwy, szybka decyzja i jeszcze szybsze wykonanie. Żeglarstwo to zetknięcie się oko w oko z naturą w jej najpiękniejszej i najgroźniejszej postaci. Czyż te twarde i mocne przeżycia mają być obce harcerkom?

Turystyka wodna — to wszystkie działy sportów wodnych, wprzągnięte w rydwan żądzy wiedzy, żywej fantazji, niczem niezaspokojonej tęsknoty szlaku. Turystyka wodna daje nam poznanie siebie i innych w groźnych momentach, poznanie pomników naszej chwały, naszych klęsk, bogactw, a nierzadko i naszej nędzy.

Sporty wodne usuwają moment emulacji indywidualnej na korzyść zbiorowego wysiłku, nie mają wreszcie w sobie ostrych i brutalnych cech, znajdujących się w pewnej dozie w innych działach. To daje im specjalną wartość w wychowaniu kobiecem wogóle, a w harcerskiem w szczególności.

Niemniej ważnem jest i to, że uprawiając ćwiczenia wodne, nie ograniczamy się do hal gimnastycznych, zamkniętych stadjonów, czy okratowanych kortów tennisowych. Terenem naszym są otwarte przestrzenie. I tu sporty wodne przestają być dla nas harcerzy sportem w zwykłem tego słowa znaczeniu. Dają to, czego szuka mieszczuch w górach, w lesie, nad morzem, stają się źródłem siły, której skarbnicą jest przyroda. Stają się tem, co jest punktem wyjścia skautowego systemu wychowawczego, szukaniem dobra i piękna w naturze, odczytywaniem rozkazów, kierujących światem, z otwartej księgi przyrody, rozkazów, które dla nas są sformułowane w prawie harcerskiem.

Tak pojęte sporty wodne — jako środki, a nie jako cel pracy harcerskiej — staną się wszędzie tam, gdzie są dogodne warunki terenowe, dźwignią tej pracy, bo mają w sobie cudowną moc przyciągania zarówno młodszych, jak starszych, równie chłopców, jak dziewcząt.

Potrzeba zdobycia i utrzymania taboru i sprzętu żeglarskiego narzuca konieczność konkretnej pracy, a niebezpieczeństwo ćwiczeń wodnych nadaje jej poważny i dostojny ton. W następnym numerze skreślę, co wedle mego zdania i w jaki sposób mogą wprowadzić z żeglarstwa żeńskie drużyny harcerskie.

Mgr. Edward Heil,
phm. druż. Harc. Druż. Żegl. w Przemyślu.

PRZELOTKA — ZANIEDBANA GRA.

Przepisy są proste, koszt — minimalny, przyjemność — znaczna, trzeba tylko, by pan profesor, wychowawca zakładu lub inny komendant Strzelca, czy Harcerstwa zdobył się na niewielką inicjatywę.

Każda z tych osób, co zajmują się wychowaniem fizycznem, z reguły narzeka na stan urządzeń gimnastycznych w swoim zakładzie, czy stowarzyszeniu i tam widzi braki, uniemożliwiające racjonalne wychowanie fizyczne, natomiast prawie nigdy nie poszuka winy w sobie samym.

Nikt w to nie wątpi, że lepiejby było, gdyby zamiast malutkiej sali była duża, zamiast jednej piłki — dwie, ale również nikt nie wątpi w to, że inicjatywa i zaradczość potrafią lepiej przeprowadzić ćwiczenie w małej sali niż bierność i oczekiwanie zmiłowania Bożego w dużej.

Miałem kolegę, nauczyciela szkoły powszechnej, który potrafił w stodole jednego z gospodarzy wsi, w której uczył urządzić przelotkę i wzbudzić takie zainteresowanie tą grą u chłopców, że bodaj najwyższą karą dla ucznia było, gdy pan nauczyciel pozbawił go na jeden dzień tej gry.

Otóż o tej przelotce, którą każdy może prowadzić u siebie w gimnazjum, w powszechnej szkole, stowarzyszeniu straży pożarnej, drużynie harcerskiej — słów kilkoro.

Przelotka — pęk barwnych piór, osadzonych w skórzanym grzybku — wymaga właśnie takiego boiska — pokoju, jak ten, w którym czytelnik przebiega oczyma mój artykuł. — Czy pokój sąsiedni może się nadawać, gdyż wolałbym tamten oddać w czasowy użytek? — zapyta niedoświadczony — odpowiedź zawsze będzie twierdząca, gdyż każdy pokój nadaje się na przelotkę. Bezwątpienia w pokoju, gdzie z trudem pomieści się trzy osoby, nie może grać dziesięć.

Więc przelotka wymaga boiska takiego, jakie jest pod ręką. Najlepszym byłby prostokąt o wymiarach 5×10 metrów.

Przez środek boiska przeciągnięta jest siatka, na wysokości *2* m. 20 cm. Już widzę zniechęconą minę tego z czytelników, któryby chciał dla swojej młodzieży kupić przelotkę, bo już i siatka potrzebna.

Znów powiem — nie sztuka grać w przelotkę we wspaniałej sali, ze stojakami i siatką od latających, gdy każdy z graczy barwną ma na sobie koszulkę — sztuka zorganizować grę, mając, zamiast siatki, zwykły sznurek, przeciągnięty mniej więcej na wysokości *2* m. 20 cm. Taki sznurek wcale nie obniży zapału graczy, może trochę utrudni sędziowanie i tyle.

Grę rozpoczyna serwer (jeden z graczy), stojąc poza boiskiem i rzucając przelotkę ponad siatką na boisko przeciw-

nika, który będzie się starał przerzucić przelotkę, odbijając dłonią na stronę serwujących. Partje mogą składać się z jednego do 6-ciu graczy. Większa liczba graczy powoduje ospałość, mniejsza nie istnieje, bo trudno, aby partja liczyła zero ludzi.

Przelotka tak misternie spada, że zawsze dąży grzybkiem nadół — wtenczas gracz, któremu najdogodniej odbić — podbija ją dłonią znów na boisko przeciwnika i tak odbijają partje nawzajem, aż do chwil, kiedy przelotka bądź upadnie w obrębie boiska, bądź dotknie ziemi poza niem.

Ta partja, która popełniła błąd: upuściła przelotkę na boisko, źle odbiła — traci punkt, skrupulatnie notowany przez przeciwników.

A więc — punkt liczy sobie partja Białych, jeśli Czerwoni popełnili jakikolwiek błąd. Błędem będzie:
1. Podbicie dwukrotne przelotki raz po raz przez tegoż samego gracza.
2. Nie odbicie przelotki, spadającej na boisko.
3. Dotknięcie przelotki, która spadnie poza własne boisko.
4. Serwowanie, przy którem przelotka spadnie na boisko serwującego, nie przeleciwszy ponad siatką.

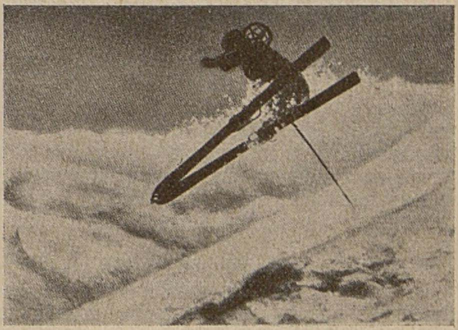
Serwowanie odbywa się pierwszy raz przy zaczęciu gry, podobnie, jak przy siatkówce, a więc z za boiska, później jednak serwuje się, to znaczy przerzuca się przelotkę na boisko przeciwnika, z tego miejsca, z którego gracz przelotkę podniósł. Ciekawą w tej ruchliwej grze jest zasada, że niema t. zw. przejść, jak w siatkówce; jeśli serwowała partja Białych i przelotka spadła na boisku Czerwonych, to Biali liczą sobie punkt, lecz serwować będą Czerwoni, a więc przepis ten można streścić krótko: serwuje ta partja, na której boisku upadła przelotka. Podobnie będzie, jeśli przelotka upadnie poza boisko: serwuje Czerwony gracz, gdy przelotka spadła poza czerwone boisko, gracz Biały — jeśli fiknęła kozła poza białe.

Zmiana miejsc graczy następuje co pięć punktów; gracze wtedy przesuwają się na własnem boisku, zgodnie ze wskazówką zegarka, o jedno miejsce. Po zdobyciu przez jedną partję 25 punktów, następuje zmiana boisk i gra toczy się aż do ponownego zdobycia następnych 25-ciu punktów. Ostatecznie zwycięża ta drużyna, która w dwuch kolejkach będzie miała sumę punktów przynajmniej o 2 większą od przeciwnika, w najlepszym razie 50 punktów.

Przelotka kosztuje około 3 zł. Siatka jak do siatkówki mniej więcej 20 zł., zresztą można użyć zwykłego sznurka.

Zaletą tej gry jest nadzwyczajna ruchliwość i oszczędność na szybach, które prawie się nie tłuką od uderzenia przelotką.

Zwinny Tur.



Na nartach.

Twórzmy świetlice!

Wyraz „świetlica.. ma w sobie coś jasnego — słonecznego. Mimowoli więc pociąga i zaciekawia. Pamiętam dobrze, że przyszło mi to na myśl w chwili, kiedy poraz pierwszy wchodziłam jako gość do jednej z najlepszych warszawskich świetlic robotniczych. Na znałam jeszcze wówczas zupełnie świetlicowej pracy. I ciekawa byłam, czy nazwa odpowiada rzeczywistości — czy praca świetlicowa ma w sobie jakie jasne rysy? Chciałam zrozumieć „ducha“ świetlicy i niejako przyłapać go na gorącym uczynku. Wszedłszy więc do sali — objęłam zaraz od progu całość ciekawem spojrzeniem. Zobaczyłam wtedy dużo — i co ważniejsze, to z miejsca zaraz poczułam się tam **tak jakoś dobrze i swobodnie.** Uderzyła mnie bowiem ogromnie miła — i szczerze radosna atmosfera. Sala duża, jasno malowana — przystrojona estetycznie i barwnie — w roku szafa biblioteczna — otwarta w tej chwili i mieszcząca w sobie czyściutko oprawne książki w długich szeregach — na stołach pisma i gry najrozmaitsze — osobne miejsce zajmuje ping-pong, który jest tutaj ulubioną zabawą — gdzieindziej jeszcze rozłożone ręczne robótki i rysunki jakieś, jakieś stroje do przedstawienia dramatycznego, które jak się później dowiedziałam — odgrywała właśnie Świetlica. W pośród tego wszystkiego gromadka młodzieży, która prosto z fabryk od warsztatów, od lady sklepowej przyszła tutaj, aby odpocząć, zabawić się, poczytać i pogawędzić chwil parę. Twarze jasne, uśmiechnięte, chociaż pobladłe od pracy i całodziennego wysiłku. Zniszczone ubrania, nierzadko pachnące benzyną, ale ręce czyste i zachowanie się grzeczne.

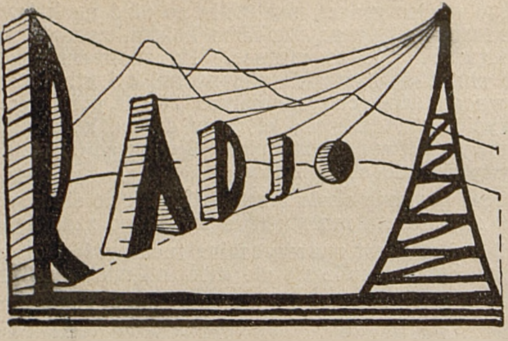
Przyjęto mię bardzo serdecznie. Objaśniano i oprowadzono po wszystkich schowkach i kącikach. Świetliczanie dumni byli ze swej świetlicy. Dowiedziałam się od nich, że „świetlica“ to nietylko ta sala, w której się zbierają — ale to oni wszyscy, cała gromada — i cała ich praca wspólna. Robią dużo! Mają kółko samokształceniowe — gdzie czytają wspólnie i uczą się historji, literatury i wielu innych rzeczy. Mają chór i śpiewają dużo — bo pieśń dopomaga w pracy i chroni przed znużeniem i tak jakoś milej jest człowiekowi. Mają także kółko muzyczne i dramatyczne, zdobnicze i robótek ręcznych i sportowe. Ogromnie lubią gry i wycieczki, ale także lubią pogadanki, bo p. kierowniczka tak ładnie umie gawędzić — szczególnie zaś podobają się im pogadanki „o nich samych“. Pokazywali mi swój „pamiętnik świetlicowy“, gdzie sami pisują, a nawet własne, międzyświetlicowe pisemko.

Musiałam przeglądnąć fotografje z kolonji wakacyjnych i wysłuchać projektów wycieczek. Później zobaczyłam jeszcze godzinę rytmiki i pląsów przy dźwiękach fortepianu — i dowiedziałam się nakoniec, że wszyscy świetliczanie bardzo — bardzo lubią swoją świetlicę i czują się w niej gospodarzami. Zrozumiałam wówczas wyraźnie, że świetlica jest dla młodzieży robotniczej potrzebną i daje jej wiele — daje jej faktycznie. Zrozumiałam wówczas „ducha“ pracy świetlicowej i idea świetlic przedstawiła mi się zupełnie wyraźnie. I wczułam się w nią, może zresztą dlatego przyszło mi to ze szczególniejszą łatwością, że jestem harcerką, że przecież świetlica jest tak bardzo podobną do drużyny harc. — mającej swój własny kącik — w „izbie“ — i swoją drużynową zamiast kierowniczki. Pogodny, słoneczny duch harcerskiej pracy przejawił mi się również w świetlicy — i dlatego było mi tam dobrze. Widziałam też różnice. Świetlica nie ma „prawa harc.“ i „przyrzeczenia“ — które obowiązuje członków harc. drużyny — niema ściślejszej organizacji — a praca w niej doskonale dostosowana jest do potrzeb robotniczego środowiska, ma więc charakter więcej oświatowy, kiedy drużyny harc. składają się przeważnie z młodzieży szkolnej. Ale przecież i my mamy harc. drużyny rzemieślnicze — i z Z. H. P. wychodziły pierwsze hasła organizowania młodzieży zawodowo pracującej — zakładania klubów dla chłopców i uliczników?

Dla nas harcerzy jest idea świetlicowa bliską i bratnią. A idea to prawdziwie głęboka. Kultura w Polsce jest wysoka i chlubimy się nią słusznie, ale nie obejmuje jeszcze mas. Należy wyrównywać różnice i w szerokie rzesze naszej miejskiej robotniczej i wiejskiej młodzieży nieść „światło zdobyte w szkole“ — rzucać w nią ziarna zdrowe i ważkie i budzić w niej tęsknotę za życiem jakiemś lepszem, wyższem i czynną postawę do życia.

Każda przeto świetlica, będąc placówką życia społecznego, staje się krzewicielką kultury — uczy cnót obywatelskich — przysposobia młodzież do życia gromadzkiego — nieci ducha zgody i współpracy, wyrabia młodzież duchowo i fizycznie i to w atmosferze najbardziej miłej i wskazanej — bo przez radosny czyn. Świetlica organizuje chwile wypoczynku ludzi pracujących fizycznie — organizuje t. zw. „wczasy robotnicze“ i dąży do kulturalnego spożytkowania tych wczasów przez wszystkie swoje urządzenia, organizacje i metody. A powiedziano: „O kulturze narodu świadczy sposób, w jaki członkowie tego narodu spędzają chwile wolne“. Szczególniej dobrze musimy o tem pamiętać — my Polacy — i dlatego też możliwie najwięcej świetlic zakładajmy i twórzmy na polskiej ziemi.

Irena Grodecka.



FULTOGRAFJA.

Wogóle metoda posyłania druków, pism i rysunków z jednej miejscowości do drugiej drogą radjową — nazywa się radjotelegrafja, co oznacza dosłownie „elektryczne pisanie na odległość".

Metod tych znamy dużo, jednak dopiero po udoskonaleniu przez kap. Fultona i doprowadzeniu metody odbierania obrazów do idealnej prostoty, możemy mówić o tym doniosłym wynalazku, który dziś znalazł tak szerokie rozpowszechnienie w całym świecie.

Zasada fultografji jest analogiczna do metody radjowizji, różnica polega na tem, że tam widzimy obraz osób, a tutaj otrzymujemy na osobnym papierze kopję obrazu nadanego na stacji nadawczej.

W dawniejszej metodzie przygotowywano na stacji nadawczej z obrazu, czy też tekstu, który miał być nadany, kliszę z folji metalowej, a obraz odbijano na niej specjalną farbą, nieprzewodzącą prądu elektrycznego. Kliszę taką owijano na walcu nadawczym (patrz rys.). Nad walcem umieszczano sztyft S., który przesuwał się równocześnie z obrotem walca. Sztyft ten, wędrując po kliszy, na której wydrukowano obraz, napotykał miejsca raz silniej, raz słabiej powleczone farbą i przewodził słabszy lub silniejszy prąd elektryczny.

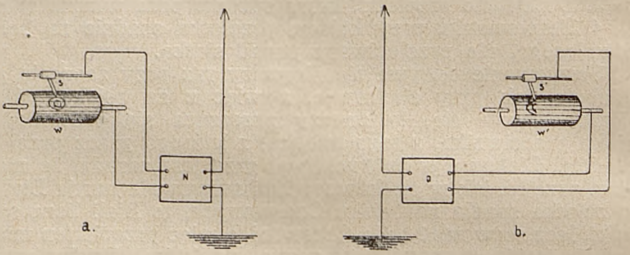
Nowsze metody posługują się t. zw. lampami fotoelektrycznemi, przy których wprost wahania światła, odbitego od obrazu, zostają zamienione na odpowiednie wahania prądu elektrycznego.

Wahania prądu po wzmocnieniu w zmieniaczu służą do modulacji fali nośnej w stacji nadawczej N.

Na stacji odbiorczej O znajduje się zwykły odbiornik radjowy O, do którego zamiast do słuchawek, czy też głośnika, dołączamy aparat fultograficzny. Aparat taki składa się również z walca i sztyftu S¹. Na walcu umieszczamy t. zw. papier fultograficzny, mający tę własność, że przy przepływie prądu elektrycznego przez sztyft S¹, powstanie na papierze pod sztyftem ciemny punkt, tem ciemniejszy, im silniejszy prąd przepływa. Gdy przepływa bardzo słaby prąd. papier pozostaje nadal biały.

Ponieważ ruchy walców tak na stacji nadawczej, jak odbiorczej odbywają się równocześnie, przeto na papierze fultograficznym otrzymamy wierną kopję obrazu nadawanego. Każdy punkt jasny, albo ciemny na walcu stacji nadawczej, wywołuje drogą fal radjowych odpowiednie pulsacje w stacji odbiorczej, a tem samem odpowiednie punkty jasne i ciemne na papierze fultograficznym.

Podobnie jak przy radjowizji, tak i tutaj dużą trudność stanowi dokładna równoczesność, t. j. synchronizacja ruchów obu walców.



W razie małych tylko niedokładności obraz odbierany ulega zniekształceniu. Zastosowano przy tym problemie metodę d'Arlincourt'a, zwaną „start — stop". Polega ona na tem, że na stacji odbiorczej walec może być tylko wtedy puszczony, gdy otrzyma sygnał ruszenia. Następnie wysyła stacja nadawcza co każdy obrót t. zw. sygnał synchronizujący, który utrzymuje ruch walca na stacji odbiorczej w dokładnej zgodności z ruchami walca na stacji nadawczej.

Przesyłanie obrazów, rysunków, podpisów drogą fultrograficzną jest dzisiaj już szeroko rozpowszechnione.

Każdy, kto posiada możliwie silny odbiornik radjowy, może dołączyć do niego aparat fultograficzny i odbierać t. zw. fultogramy. Dzisiaj takie stacje, jak Wiedeń, Daventry, Königswusterhausen, Kopenhaga i inne nadają w oznaczonych godzinach osobne programy obrazowe. W Polsce obecnie tylko stacja w Poznaniu posiada aparaturę do nadawania fultogramów.

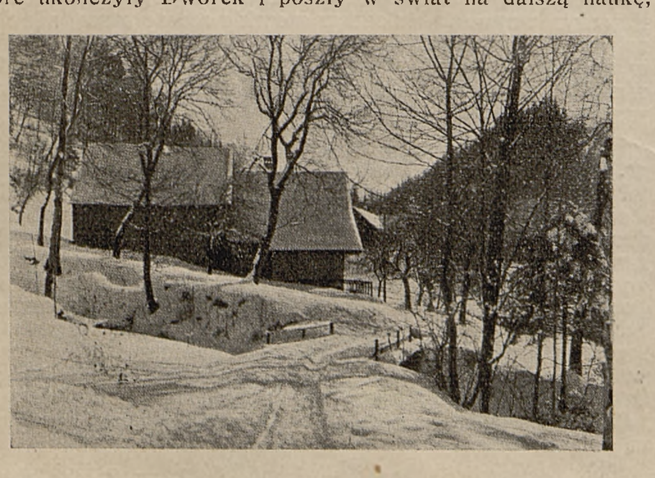
Inż. Z. Mitera.

Z DWORKU CISOWEGO.

Dworek Cisowy, 6. II. 1930.

Cudne były tegoroczne Święta w Dworku i pięknie się nam zaczął rok nowy. Chociaż wyjechały aż cztery nauczycielki i prawie wszystkie dzieci, dom przecież pełen był ludzi.

Przyjechali Krzysia i Janek — nasze pierwsze dzieci, które ukończyły Dworek i poszły w świat na dalszą naukę,



Zimowy dzień.

ale wracają do nas na wszystkie święta i wakacje. Przyjechały: Fidel, obie Irki, Marysia z siostrą i inne — kochane stare koty, osły i szkapy... wierne towarzyszki naszych dni trudnych i chwil radosnych, codziennej pracy i warjackich wypraw.

Strasznie miły jest taki zjazd. Oczywiście nie byli to goście, których trzeba „bawić". Marysia odrazu przywiozła ze sobą fartuch, a Fidel zaraz po przyjeździe zabrała się do mycia okien. Odrazu zrobiło się w domu gwarno i ciasno. Biedna druhna Oleńka napróżno usiłowała pisać rozsądne angielskie „X-mas letters": siedziała pilnie przy biurku w swoim pokoju, ale cóż? Tuż obok Staszka, „little Doctor" i „Stara Skrzynia" nawlekają pierniki choinkowe między wiadrem, paką i półmiskiem". Z drugiej strony Fidel z Irką myją okna. Na łóżku poza nią rozłożyły się podarki gwiazdkowe, więc „Gaździno, pamiętajcie, że się nie wolno oglądać". Taki sam rozgardjasz panuje w całym domu. Tu się ktoś rozpakowuje i układa rzeczy, tam ktoś inny smaruje narty, pisze karty świąteczne, klei ostatnie ozdoby choinkowe, trze mak, myje podłogę, podbiela. W jadalni Krzysia zasiadła do pianina, a przy niej Janek z książką. Romek z Germaine tylko co wrócili z próbnej wycieczki narciarskiej. I niewiadomo było właściwie, czem jest ten Dworek naprawdę? Czy szkołą, z której się wyjeżdża do domu na Święta, czy schroniskiem wycieczkowem dla rozmaitych turystów i narciarzy, czy poprostu domem najmilszym, do którego się tęskni przez długi rok nauki i dokąd się z uciechą najżywszą przyjeżdża na wszystkie wakacje.

Ktoś tam kiedyś żałował Kokosi, że przed Świętami będzie miała zadużo roboty. Litościwa osobo, było ich trzy stałe kucharki, miały do licha i troszkę pomocników przygodnych, a przecież ledwie żyły ze zmęczenia, bo na parę dni przed świętami pękła w piecu kuchennym rura wodociągowa. Oczywiście woda zalewała wciąż ogień i niemożna było wcale gotować. Skąd tu tak nagle wziąć choćby kogoś podobnego do montera?... Trzeba było rzecz prosta połatać jakoś domowym sposobem, ale i tak naprawa trwała dwa dni, a z całem gotowaniem trzeba się było przenieść do pralni w Domu Ludowym. Ale — nie mówiąc już o tem, że po każdą rzecz trzeba było biegać do Dworku — to w owej pralni jest tylko piecyk żelazny na dwie fajerki, a tu trzeba gotować codzień na 40 osób, ugotować wieczerzę wigilijną „z wymysłami", oraz cośniecoś na pierwszy dzień Świąt, no i upiec rozmaite rzeczy. A więc szykowało się to wszystko coś w 5-ciu miejscach i po całych dniach łaziły jakieś baby do Kokosi „za wiliją".

Pomyślcie teraz, ile było potrzeba zaradności, energji, dobrej woli Kokosi, Halinki i Walki, a przedewszystkiem niewyczerpanych zapasów dobrego humoru, by te wszystkie trudności wesoło pokonać. Kiedy w domu, w normalnych warunkach, panowie zwykle się wynoszą na polowanie, albo „do handelku", jeśli to w mieście, a goście starają się poprostu zniknąć, by w czasie przygotowań świątecznych nie przeszkadzać skłopotanej, zmęczonej, a często gniewnej pani domu, tu nietylko nikt nie zmykał, ale wszyscy przy pomaganiu bawili się pysznie. Nie przysięgnę, czy się tam nie rozbiły, jakie jaja, zwożone z impetem na nartach z Dworku przez wieś do plebanji, ale ręczyć mogę za to, że ludzie zjadali po dwa obiady dziennie, prawie o tem nie wiedząc.

Po wieczerzy wigilijnej poszliśmy na głos dzwonka do klasy podziwiać piękną choinkę i wspaniałe podarki — jeszcze chyba nigdy tyle ich nie było pod choinką. Tego roku wszyscy nasi przyjaciele pamiętali o nas. Oprócz prywatnych rzeczy dostał Dworek śliczne ubranka i drobiazgi od „Rodziny Dworkowej" z Leszna na gwiazdkę dla biednych dzieci, tak samo dla nich śliczne fartuszki i drobiazgi z Poznania. Inowrocław ofiarował piękną „Ilustrację Szkolną". Warszawa różne gry dla naszych najmłodszych dzieci i prześlicznie wykonany album historyczny pocztówkowy.

Następnie tradycyjne przełamanie opłatka z „Laurą" i osiołkiem... a potem na Pasterkę. W Sromowcach Pasterkach jest o 6-ej rano. Wybrały się na nią dzieci i niektórzy, bardziej pomęczeni ze starszych. Reszta w liczbie 12-tu poszliśmy na Mszę północną do Krościenka. Cudownie się szło w gwiaździstą noc zaśnieżoną, śpiewając:

„Rzućmy Dworek, dzieci, stada,
niechaj niemi Wala włada...
A my na Pasterkę".

Na Hałuszowej zatrzymała nas Gaździna. Hala zasypana była śniegiem. Tonęło się w nim po kolana i ledwie było widać czerwony dach kosaru. Za nami stał czarnym głuchym półkręgiem smrekowy las, otulony ciepło śniegowym puchem. Nad lasem, daleko słały się mgły, aż hen, ku srebrno-niebieskim szczytom Tatr. Przed nami w dolinie znaczył się sznur wiosek złotemi światełkami okien. Niebo nad nami wyglądało jak szafirowy krościeński serdak, mieniący się srebrnemi blaszkami. Staliśmy długą chwilę zapatrzeni w tę cudną noc przed nami, a potem: ku halom, lasom i górom popłynęła kolenda:

„Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi,
Ciemna noc w jasności promienistej brodzi..."

Za nią pobiegły inne. Zapomnieliśmy, gdzie jesteśmy i dokąd idziemy. Samotni na szerokiej hali, staliśmy zwartą i bliską sobie gromadką... Jakże inaczej mieliśmy powiedzieć Bogu, że Jego świat jest piękny, a ludzie na nim szczęśliwi? —

Marol.

Leć moja piosnko...



(piosenka, ułożona przez jedną z harcerek I. Ż. Drużyny Krakowskiej).

Leć moja piosenko, lećże w dal,
Ponad dalekie morza,
Niechaj uleci z Tobą żal,
Niech wróci wiosna hoża.

Szare smutki niechaj zaginą,
Dźwięki Twoje niech w dal popłyną,
Promyczek słońca niech cię omota,
Wchoń w siebie ciepła i złota.

Pozdrów odemnie promyczka brata,
Ucałuj siną chmurkę,
Niechaj nam ześle wietrzyka chwata,
I śniegu gwiazdkę — swą córkę.

Szare smutki niechaj zaginą,
Dźwięki Twoje niech w dal popłyną,
Stój przy nas zawsze jasna pogodna,
Gdy jesień dręczy nas chłodna.

OD REDAKCJI.

Termin wydania numeru marcowego przesuniemy tak, by ukazał się wcześniej, byśmy mogli numer kwietniowy rozesłać też przed Świętami Wielkanocnemi. Prosimy przeto wszystkich współpracowników i korespondentów o wcześniejsze nadsyłanie materjałów.

Od 1-go kwietnia wchodzą w życie nowe przepisy o doręczaniu pism. Będziemy przeto mogli wysyłać nasze pismo tym tylko, którzy prenumeratę na m. kwiecień uiszczą z góry w ciągu marca.

Tym wszystkim prenumeratorom, którzy zalegać będą z opłatą wysyłkę pisma bezwzględnie wstrzymamy.

Z ŻYCIA SZKOLNEGO.

Kto jeszcze rok temu wszedł w godzinach popołudniowych do gmachu naszego gimnazjum — nic nie usłyszał. Grobowe milczenie zalegało sale szkolne.

Dzisiaj jest całkiem inaczej. Dzisiaj od 4 do 7 godziny bieganina po korytarzach — z klas dolatuje to głos prelegenta, wygłaszającego referat na zebraniu któregoś z kółek, to śpiew, lub wesoły brzęk mandolin.

Może jesteś ciekawy — chodź, zrobimy małą lustrację.

Jesteśmy na parterze. Słyszysz? Tam w narożnej sali ktoś mówi. Uchylmy delikatnie drzwi i przez szparę popatrzmy i posłuchajmy. Cóż to? Gromadka małych chłopców, skupiona koło starszego kolegi, z zajęciem słucha jakiejś opowieści. To najmłodszy zastęp „Wilków" niedawno założonej harcerskiej drużyny szkolnej. Zapewne rozmawiają o upragnionym obozie wakacyjnym. Nie sądź, że tylko to robią. O, nie. Pracują w całem tego słowa znaczeniu. Niedarmo przecież mają tytuł pierwszego zastępu drużyny.

Nie przeszkadzajmy im — pójdziemy dalej. Obok w sali odbywa się zebranie kółka L. O. P. P., tutaj też dwa razy w tygodniu ma próby chór gimnazjalny. Warto posłuchać, jak tenory ciągną „Kazali se piknie grać i na nóżki spozirać", a basy i wtórują „hej, hej, hej".

Jeszcze dalej w tym samym korytarzu dochodzą nas z poza zamkniętych drzwi energiczne uderzenia piłeczki pingpongowej, czasem padają pojedyncze wyrazy „szach", „szach". Ta klasa — to siedziba kółka towarzysko-rozrywkowego.

Pójdziemy teraz na piętro. Tam na wprost ćwiczy orkiestra mandolinistów, złożona z ośmdziesięciu instrumentów. Po drugiej stronie odbywają się posiedzenia kółek radjotechniczno-fotograficznego, historyków i polonistów.

Widzę jednak, że cię to wszystko nudzi. Innym razem pójdziemy dalej. Przespacerujemy się na lód parku, tam ćwiczą hokeiści, do sąsiednich koszar na zbiórkę P. W. Odwiedzimy Kółko krajoznawcze, Sodalicję Marjańską, Sekcję sportową, Ligę morską, a może też uda nam się pójść na jakiś wieczór, urządzony przez harcerzy.

Narazie poczekajmy — zapewne i inni zechcą skorzystać z uprzejmości Rewakcji i napiszą coś o sobie. Czekamy.

B. Wierzbiański,

Kraków — V. Gimnazjum im. J. Kochanowskiego.

Gimnazjum żeńskie w Pszczynie.

Hufiec P. W. K. urządził 20 lutego wieczornicę, na program której złożyły się występy gimnastyczne, śpiewy, deklamacja zbiorowa p. t. „Ostatni rozkaz" i „Balladyna" (w wyjątkach). Wieczornicę zakończył doskonale opracowany „Krakowiak". Wieczorek wypadł naogół bardzo udatnie, jedynie zarzucić możnaby dobór repertuaru zanadto „poważny". W występach młodzieży winno być więcej radości!

Dotychczasowe kółko historyczno-krajoznawcze zreorganizowano w ten sposób, że jako kółko krajozn. wchodzić będzie w skład ogólnej organizacji kół krajozn.

Utworzono przy niem sekcję historyczną (zapoznanie się specjalne z dziejami Śląska), ochrony przyrody i turystyczną. Koło ma zająć się zbieraniem materjałów dla „Orlego Lotu", tworzeniem muzeum szkolnego i fotografowaniem ciekawych zabytków sztuki i przyrodniczych.

KRONIKA HARCERSKA.

KOMENDA CHORĄGWI ŻEŃSKIEJ z okazji 10-lecia Harcerstwa Śląskiego projektuje urządzenie Zlotu Chorągwi w dniach od 27 czerwca do 3 lipca. Zlot ma się odbyć nad Przemszą koło Mysłowic. W zlocie mają wziąść udział wszystkie drużyny, gdyż zlot ma dać obraz dorobku dziesięcioletniej pracy harcerskiej na Śląsku, oraz dopomóc do wzajemnego poznania się i zżycia drużyn.

Część drużyn będzie pomieszczona pod namiotami, a druga część w szkołach w Jęzorze i Niwce. W czasie zlotu odbywać się będą zawody sportowe, obozowanie i śpiewy. Na zlocie będzie urządzona wystawa prac harcerskich, a codziennie będą się odbywać pokazy artystyczne. Drużyny powinny już teraz starać się o namioty i ekwipunek.

HUFIEC KATOWICKI objął dh. podh. Alojzy Spyrka.

DELEGATEM MINISTERSTWA SPR. WOJSK. do Z. H. P. został mianowany dh. mjr. Edw. Pfeiffer, który jako harcerz wstąpił do Legjonów, po zakończeniu wojny pracował w Z. O. Krakowskiego, był prezesem Akad. Klubu Starszego Harcerstwa. Przed przybyciem do Warszawy pracował w P. W. na Pomorzu.

SKRZYDŁA — miesięcznik instruktorek harc. — nr. drugi — zawierają bardzo interesujące refleksje pozjazdowe i szereg artykułów, które niewątpliwie zainteresują również każdego instruktora. Pouczające są wykresy rozwoju harc. żeńsk. w latach 1918—1928.

HARCMISTRZ za grudzień i styczeń poświęcony jest zagadnieniom programowym i organizacyjnym (na podstawie referatów w G. K. M.). Bardzo ciekawy problem i palący dla Z. H. P. poruszono w artykule „Harc. Drużyny Seminaryjne" — szkoda tylko, że zbyt fragmentarycznie. Starszyzna winna być wdzięczna za podanie do wiadomości programu pracy G. K. M.

KONKURS ŚPIEWACKI W KRÓLEWSKIEJ HUCIE. Z inicjatywy hufcowej w Królewskiej Hucie d-hny phm. Ireny Bólówny odbyły się w niedzielę, dnia 16 lutego zawody śpiewackie dla drużyn żeńskich hufca król-huckiego. Warunkiem konkursu było wykonanie przez drużynę piosenki ludowej na dwa głosy. Do zawodów stanęły wszystkie drużyny hufca oprócz II-giej król-huckiej, t. j. I., III., IV., V. i VI. druż. w Królewskiej Hucie, I., II. i III. drużyna w Wielkich Hajdukach i I. drużyna w Chorzowie. W obszernej auli gimnazjum żeńskiego zgromadzili się członkowie K. P. H., rodzice harcerek i druhowie z hufca męskiego. Przy osobnym stoliku zasiedli goście konkursowi. Uroczystość rozpoczęła się odśpiewaniem przez cały hufiec trzech pieśni, t. j. „Wszystko co nasze", „O pójdź" i „Harcerska dola". Potem kolejno śpiewały drużyny, wykonując następujące pieśni: I. druż. w Król. Hucie „Rezedka", III. druż. w Król. Hucie „Są, są, są rybki", IV. drużyna w Król. Hucie „Jakech ja konie pasł", V. druż. w Król. Hucie „Dobranoc ty wiosno", VI. druż. w Król. Hucie „Weznę ja te skrzypki", I. druż. w Wielkich Hajdukach „Mazurek", II. druż. w Wielkich Hajdukach „Jeszcze jeden mazur dzisiaj", III. druż. w Wielkich Hajdukach „Brać do Skworonka", I. drużyna w Chorzowie „Maciuś". Sąd konkursowy przyznał pierwszą nagrodę (w postaci kotła) III. druż. w Król. Hucie, drugą (łopatka) III. druż. w Wielkich Hajdukach, trzecią (książka) VI. druż. w Król. Hucie. Dobrzeby było, aby i inne hufce urządziły podobne konkursy, któreby pobudziły drużyny do śpiewu, a w szczególności zachęciły do zapoznania się z piosenką ludową.

KURS DLA DRUŻYNOWYCH. Komenda Chorągwi Żeńskiej w Katowicach zorganizowała kurs w zakresie próby na drużynową. Kurs rozpoczął się w poniedziałek, 17 lutego. Pierwszą gawędę o ideologji i prawie harcerskiem przeprowadził dh. Harcm. Rp. Tadeusz Strumiłło. Kurs odbywa się w każdy poniedziałek od godz. 4,30 do 7, liczy 20 uczestniczek z terenu Chorągwi i trwać będzie 3 miesiące.

II. ŻEŃSKA RYBNICKA DRUŻYNA może się poszczycić obszernym lokalem, jak rzadko która z drużyn — dysponuje bowiem kilkoma pokojami w pustej willi Zakładu dla umysłowo chorych. Tam ogniskuje się praca drużyny, wspierana przez opiekunkę, p. dyr. Wiendlochową. 16 lutego drużyna urządziła przedstawienie, które przyniosło 200 zł. czystego dochodu. Przeznaczono je na zlot.

Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1 zł, kwar lna 1,50 zł, półroczna 3 zł, roczna 6 zł.

W skład Komitetu redakcyjnego wchodzą: Olga Grzbielowa, Marja Kapiszewska, Jadwiga Laszczkówna, Jan Grzbiela, Henryk Kapiszewski, Adam Kossowski, Adam Kozaczka, Tadeusz Wąsowicz, Marjan Wierzbiański, Adam Wiliński, Jan Kazimierz Zaremba. Pracą Komitetu redakcyjnego kieruje Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.

Odbito w Drukarni Śląskiej, Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.